



Roczniki Zakonu Kawalerów Orderu Złotego Jelenia

Myśliwskie intelektualia

Rok XV

Redakcja Janusz Andrzej Siek



Lublin 2020



Tytuł: **Roczniki Zakonu Kawalerów Orderu Złotego Jelenia**
Praca zbiorowa pod redakcją Janusza Andrzeja Sieka

Wszelkie prawa zastrzeżone
Copyright by Zakon Kawalerów Orderu Złotego Jelenia

Wydawca:
Zakon Kawalerów Orderu Złotego Jelenia
Plac Zamkowy 1
49-300 Brzeg

Skład komputerowy i druk:
Agencja Reklamowa BAGA
e-mail: slawek@baga.com.pl

Wydanie I

Nakład 180 sztuk

Brzeg - Lublin 2020

ISBN 978-83-950698-3-3





Poczet Subskrybentów

Oficerowie i Kawalerowie Zakonu Kawalerów Orderu Złotego Jelenia

- Marek Piotr Krzemień (1) * Leszek Kazimierz Krawczyk (2)
* Jacek Adam Seniów (7) * Antoni Marian Papież (8)
* Roman Kazimierz Badowski (9) * Zbigniew Józef Tylek (10)
* Roman Michał Dziedzic (12) * Marek Ordyłowski (13)
* Roman Waldemar Pociask (16) * Kazimierz Szabla (17)
* Krzysztof Marcei Kadlec (18) * Eugeniusz Grzegorz Gwiazdowski (20)
* Antoni Jan Dziadkowiak (22) * Henryk Krzysztof Chwaliński (23)
* Leszek Jan Walenda (24) * Józef Marian Nicpoń (25)
* Tadeusz Marian Ryczaj (28) * Jacek Sakowicz (30)
* Maciej Bogdański (31) * Ryszard Henryk Ziemblicki (32)
* Eugeniusz Ochnio (33) * Arkadiusz Piotr Hnyluch (34)
* Janusz Andrzej Siek (35) * Stanisław Ostański (36)

* W nawiasach zamieszczono numer porządkowy nadania orderu Zakonu

Adam Wytykowski
Krzysztof Uznański
Aleksandra Matulewska
Leszek Szewczyk
Andrzej Brabletz
Maciej Strawa
Andrzej Głowacki
Małgorzata i Paweł Tabor
Andrzej Jesse
Marek Libera
Andrzej Kozakiewicz
Marek Piszczala
Bartłomiej Papież
Marek Rogoziński
Henryk Grzesło
Maria i Michał Bogdańscy
Henryk Leśniak
Marian Papież
Hubert Olszewski
Michał Idczak
Hubert Wański
Michał Jordan
Jacek Pszczółka
Michał Talma

Jacek Stanko
Mieczysław Struzik
Jacek Szymkowiak
Miłosz Kościelniak - Marszał
Jan Milner
Piotr Cebernik
Janusz Gocaliński
Remigiusz Sobejko
Janusz Wylegała
Stanisław Gubała
Khalit Hagar
Katarzyna Dolata - Wiciak
Stefan Sochacki
Kazimierz Kroskowski
Witold Owczarczak - Garstecki
Konrad Oleszczuk
Witold Rosa
Krzysztof Dydyna
Wojciech Matysiak
Krzysztof Mielnikiewicz
Zbigniew Korzeniowski
Krzysztof Oleszczuk
Zdzisław Banaszczak





Institucje

- Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa w Warszawie
- Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
- Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Katowicach
- Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Lublinie
- Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Zielonej Górze
- Zarząd Główny Polskiego Związku Łowieckiego
- Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu



**PATRON
ZAKONU KAWALERÓW ORDERU ŻŁOTEGO JELENIĄ**

ZAKON KAWALERÓW ORDERU ŻŁOTEGO JELENIA

ZAŁOŻONY PRZEZ KSIĘCIA JERZEGO IV WILHELMA

W BRZEGU - 23 SIERPNIĄ 1672 ROKU,

REAKTYWOWANY - 23 SIERPNIĄ 1998 ROKU W LANCKORONIE



(1)
Marek Piotr
Krzemień



(2)
Leszek Kazimierz
Krawczyk



(3)
Zbigniew Krych



(4)
Tadeusz Wajda



(5)
Mirosław Szubiński



(6)
Andrzej Kopec



(7)
Jacek Adam Seniów



(8)
Antoni Marian Papięż



(9)
Roman Kazimierz
Badowski



(10)
Zbigniew Tylek



(11)
Ireneusz Stankiewicz



(12)
Roman Michał Dziedzic



(13)
Marek Ordyłowski



(14)
Władysław Dynak



(15)
Alfred Hałasa



(16)
Waldemar Roman Pociask



(17)
Kazimierz Szabla



(18)
Krzysztof Marcei
Kadlec



(19)
Mirosław Rozmus



(20)
Eugeniusz Grzegorz
Gwiazdowski



(21)
Janusz Wójtowicz



(22)
Antoni Jan
Działkowiak



(23)
Henryk Krzysztof
Chwaliński



(24)
Leszek Jan Walenda



(25)
Józef Marian Nicpoń



(26)
Piotr Żuchowski



(27)
Waldemar Smolski



(28)
Tadeusz Marian
Ryczaj



(29)
Władysław Kamusiński



(30)
Jacek Sakowicz



(31)
Maciej Bogdański



(32)
Ryszard Ziemblicki



(33)
Eugeniusz Ochnio



(34)
Arkadiusz Hnyluch



(35)
Janusz Andrzej Siek



(36)
Magdalena Langer
fotograf ZKOZJ



Spis treści

Wstęp do Roczników	
Henryk Krzysztof Chwaliński	9
Kalendarium Zakonu	
Leszek Jan Walenda	12
Julian Fałat i jego „Teki myśliwska”	
Roman Kazimierz Badowski	18
Mieczysław Romanowski – poeta, myśliwy, powstaniec	
Janusz Andrzej Siek	25
Historia rodziny Woyniłłowiczów	
Henryk Leśniak	35
Władysław Czachórski - myśliwy, „malarz pięknych kobiet”	
Janusz Andrzej Siek	43
Historia jednego krzyża	
Henryk Krzysztof Chwaliński	47
Przesady i zabobony, humor i „łacina” myśliwska, zwyczaje i tradycje łowieckie	
Leszek Jan Walenda	50
Pan „Zwierzyniec” - historia pewnego myśliwego, prawie leśnika	
Aneta Sławińska	60
Łowiecka pasja Lenina	
Jerzy Szoltyś	64
Jeleń „Mussolini”	
Jerzy Szoltyś	68
Z dziejów sygnałów myśliwskich - szkic historyczny	
Krzysztof Marcei Kadlec	72
Fototrzał „w punkt” czy fotopalba „Panu Bogu w okno” (1)	
Magdalena Langer	84
„Wojownik z Korsyki” przybył na Łączki Jurajskie	
Maciej Bogdański	96
„Pedro” - wspomnienie	
Henryk Krzysztof Chwaliński	106
Medalowy byk	
Tomasz Hubert Marcinkowski	109
Połowanie z gończym polskim na zajęce w Rosji	
Tomasz Hubert Marcinkowski	111
Poranek na tokowisku	
Stanisław Ostański	113
„Bazia”	
Stanisław Ostański	117
Kuropatwy	
Stanisław Ostański	119
Polesie	
Stanisław Ostański	121
Galeria Zakonu	125





WSTĘP DO ROCZNIKÓW

SZANOWNI SUBSKRYBENCI! OFICEROWIE I KAWALEROWIE ZAKONU!

Sytuacja jaka wytworzyła się w ostatnich miesiącach w naszym kraju, a także na całym świecie, związana z szalejącą pandemią koronawirusa, jest dziwna, smutna, niejasna i przygnębiająca. Prowadzi do ogromnych zawirowań, chaosu, braku stabilności i niepewności jutra. Zmusza do refleksji, powoduje chęć zamknięcia się w sobie, schowania się w jakiejś odizolowanej od rzeczywistości skorupie i przeczekania tego nienormalnego czasu.

Wszystko co się ostatnio dzieje tłamsi w nas chęć do działania, do podejmowania codziennych, nowych inicjatyw i wyzwań. Sytuacja taka negatywnie oddziałuje na naszą psychikę, zabija ducha działania. Ponadto ogranicza się nasze swobody i wolności decyzjami i nakazami administracyjno - rządowymi. Brak możliwości spotkań, zgromadzeń, osobistych kontaktów, problemy z płynnym przemieszczaniem się z miejsca na miejsce, ale chyba także dręczący nas wszystkich smutek i niepewność tego co nastąpi, spowodowały że wiele dziedzin normalnego życia zamarło, albo bardzo mocno ograniczyło swoje działanie.

Dotknęło to również Zakon, którego działalność w ostatnim okresie została bardzo mocno ograniczona. Nie uczestniczyliśmy w wielu zaplanowanych spotkaniach, uroczystościach i przedsięwzięciach – targi EXPO w Sosnowcu, planowana wizyta w Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu, uroczystości w Krakowie związane z Odsieczą Wiedeńską, festiwal kultury w okręgu opolskim, kongres i dni kultury w Czarnej Białostockiej i wiele innych. Ze statutowych zadań zostało nam w zasadzie wydanie Roczników Zakonu, co udało się zrealizować w terminie i mam nadzieję z dobrym skutkiem. Mam również nadzieję, że udało się uniknąć pewnych potknięć, niedociągnięć i pomyłek, jakie były udziałem dwóch pierwszych Roczników, wydanych w obecnej kadencji Kapituły. Niedoskonałości te leżały po stronie edytorskiej i wydawniczej, a wynikały głównie z braku dobrego, szybkiego i częstego kontaktu na linii drukarnia - redakcja oraz ze zmiany pracownika drukarni obsługującego skład i druk Roczników.

Należy dodać, że obecny Rocznik wydany jest pod nowym kierownictwem, albowiem Zakon na Walnym Zgromadzeniu w lutym 2020 roku przyjął rezygnację Kawalera Macieja Bogdańskiego ze stanowiska redaktora prowadzącego i desygnował na to stanowisko Kawalera Janusza Sieka. W tym miejscu chciałbym w imieniu Kapituły i swoim własnym serdecznie podziękować Kawalerowi Bogdańskiemu za mnóstwo trudu, zaangażowania i serca



*Henryk Krzysztof
Chwaliński*





Posiedzenie Kapituły ZKOZJ w Biedaczowie, omówiono między innymi redagowanie i wydawanie Rocznika Zakonu, od lewej Henryk Chwaliński, Stanisław Ostański, Sławomir Olszyński, Janusz Siek, Eugeniusz Gwiazdowski, Tadeusz Ryczaj i Leszek Walenda, fot. Liliana Keller

jakie włożył w opracowywanie, składanie i wydawanie Roczników. Zaręczam, iż jest to praca bardzo żmudna, czasochłonna i czasem niewdzięczna, choć pewnie bardzo satysfakcjonująca – o ile całość przedsięwzięcia uda się zrealizować na wysokim poziomie. Kawaler Bogdański jest człowiekiem bardzo zajęтым, zaangażowanym w szereg różnego rodzaju działań na wielu płaszczyznach i zapewne trud i czas wkładany w redagowanie Roczników nieco zaburzał jego rytm życia zawodowo - prywatnego.

Obecny redaktor prowadzący – Kawaler Janusz Siek, od niedawna w naszym gronie, to człowiek powszechnie znany i szanowany w kręgach polskiej kultury łowieckiej, mający znaczące osiągnięcia w popularyzowaniu i kształtowaniu tejże kultury, jeden z twórców i redaktor naczelny „Kultury Łowieckiej” – czasopisma KKiKŁ PZŁ, długoletni redaktor naczelny kwartalnika „Myśliwiec Kresowy”. Myślę, że ogromna wiedza i doświadczenie Kawalera Sieka oraz jego pasja i zapał, są gwarantem sukcesu nowych Roczników Zakonu. Tego pragnę sobie życzyć, jak również wszystkim naszym Szanownym Subskrybentom i Sympatykom.

Tak jak już wcześniej zaznaczyłem, mam nadzieję, że w końcu uda się uniknąć edytorskich lapsusów. Natomiast raczej jestem spokojny o poziom merytoryczny zamieszczonych w Rocznikach publikacji oraz o ich atrakcyjność i różnorodność. Myślę, że każdy Czytelnik znajdzie coś interesującego dla siebie. Jest trochę poezji, trochę opowiadań wspomnieniowo - lirycznych, portrety barwnych, ciekawych ludzi związanych z polskim łowiectwem, rozprawki o malarstwie i muzyce, coś niecoś o zwierzynie, wreszcie spojrzenie na myśliwską fotografię, a wszystko to oczywiście tymi fotografiami bogato okraszone. Ale najważniejsze jest to, że w Roczniku zamieściło swe teksty tak wielu autorów! I to jest bezspornie największy sukces Roczników wydanych w kadencji obecnej Kapituły. W trzech wydanych dotychczas Rocznikach swoje teksty zamieściło 25 autorów: 17- tu Oficerów i Kawalerów ZKOZJ i 8 - u autorów spoza Zakonu! A ktoś, w momencie gdy przejmowałem ster władzy w Zakonie, powiedział mi: „potencjał intelektualny tego zbioru ludzkiego się kończy, nikt Ci nie napisze żadnego artykułu do Roczników, bo nie ma kto i o czym pisać”. Jestem niezwykle rad, że ten ktoś się mylił. Albowiem członkowie Zakonu ciągle mają wiele ciekawych rzeczy do powiedzenia i przekazania i chcą się tym dzielić. Spotykam się z coraz nowymi ludźmi,





którzy po bliższym poznaniu historii Zakonu, jego roli i zadań, bardzo chętnie chcieliby zamieszczać swoje teksty i przemyślenia w Rocznikach Zakonu i byłoby tym faktem zaszczyt.

Życzę miłej lektury i załączam serdeczne pozdrowienia.

Darz Bór!

Św. Eustachemu Cześć!

Henryk Krzysztof Chwaliński – Wielki Mistrz ZKOZJ





KALENDARIUM ZAKONU KAWALERÓW ORDERU ZŁOTEGO JELENIA - 2019 ROK

10 lutego 2019 roku Zakon uczestniczył w krakowskich uroczystościach obchodów 336 rocznicy Odsieczy Wiedeńskiej, w 343 rocznicę koronacji Jana III Sobieskiego na Króla Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Uroczystości rozpoczęły się wymarszem orszaku królewskiego spod Kościoła Mariackiego i przemarszem „Traktem Królewskim” ulicami Krakowa (Rynek, ul. Grodzka, pod Wawel do auli Bernardynów). W krakowskich uroczystościach Zakon reprezentowali Kawalerowie: Waldemar Pociask, Maciej Bogdański i Arkadiusz Hnyluch oraz fotograf Zakonu Magdalena Langer.



Leszek Jan Walenda

W dniach 5-7 kwietnia 2019 roku w Sosnowcu miały miejsce X Międzynarodowe Targi Łowieckie EXPO Hunting. Stoisko prezentujące i promujące dobro Zakonu reprezentowali Oficerowie: Henryk Chwaliński, Leszek Walenda, Eugeniusz Gwiazdowski, Tadeusz Ryczaj i Leszek Krawczyk oraz Kawalerowie Maciej Bogdański i Arkadiusz Hnyluch.

W dniach 7-8 września 2019 roku, w leżącej w sercu Puszczy Knyszyńskiej Czarnej Bia-



Oficerowie i Kawalerowie ZKOZJ podczas EXPO Hunting 2019 w Sosnowcu, fot. Leszek Walenda *Wspólne stoisko ZKOZJ i KKIKŁ PZL, fot. Liliana Keller*

łostockiej, miały miejsce XIII Spotkania Hubertowskie, w ramach których odbyło się kolejne VIII Międzynarodowe Seminarium Naukowe. W Hubertowskich spotkaniach Zakon reprezentowali: Oficer Eugeniusz Gwiazdowski oraz Kawalerowie Jacek Sakowicz i Ryszard





Ziemblicki. Przedstawiciele Zakonu uczestniczyli również we mszy św. w kościele pw. Świętej Rodziny, zaciągając wartę honorową przy ołtarzu z obrazem św. Eustachego.

8 września 2019 roku ZKOZJ został zaproszony przez ks. Mariusza Marciniaka - kustosa Sanktuarium Niepokalanej Matki Dobrej Nadziei w Tuligłowach, na uroczystości odsłonięcia i poświęcenia pomnika Papieża Jana Pawła II. W przedmiotowych uroczystościach Zakon reprezentował Kanclerz Tadeusz Ryczaj.

W dniach 4-6 października 2019 roku w Zamościu miały miejsce obchody Ogólnopolskiego Hubertusa, na które zaproszenie do uczestnictwa otrzymał również Zakon Kawalerów Orderu Złotego Jelenia. Główne uroczystości, w których uczestniczył Zakon, rozpoczęły się w dniu 5 października uroczystą mszą św. hubertowską w Katedrze Zamojskiej. W trakcie mszy św. nastąpiło nadanie i poświęcenie sztandaru Oddziału Zamojskiego im. Alfreda Hałasy Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej PZŁ. Na hubertowskich uroczystościach Zakon reprezentowali Oficerowie: Henryk Chwaliński, Leszek Walenda, Eugeniusz Gwiazdowski, Tadeusz Ryczaj oraz Kawaler Waldemar Pociask i fotograf Zakonu Magdalena Langer. W drodze powrotnej Oficerowie Eugeniusz Gwiazdowski i Tadeusz Ryczaj oraz Kawaler Waldemar Pociask odwiedzili grób śp. Alfreda Hałasy w Zwierzyńcu.



Podczas uroczystej mszy hubertowskiej w Katedrze Zamojskiej, fot. Magda Langer



Przemarsz z Katedry Zamojskiej na Rynek Wielki, fot. Janusz Siek



Poczet z chorągwią Zakonu na Rynku Wielkim, fot. Janusz Siek



Prezentacja na schodach zamojskiego ratusza podczas Hubertusa Ogólnopolskiego Zamość 2019, fot. Liliana Keller





W dniach 24-27 października 2019 roku odbyło się w Janowie Lubelskim Zwyczajne Walne Zgromadzenie ZKOZJ.

W trakcie Walnego Zgromadzenia przedyskutowano i ustosunkowano się do następujących zagadnień:

- przyjęto w poczet członków Zakonu Kawalera Stanisława Ostańskiego,
- wręczono insygnia zakonne Kawalerowi Januszowi Siekowi,
- wręczono medal Bene Merenti Oficerowi Jackowi Seniowowi,
- przedstawiono i wręczono Oficerom i Kawalerom Kroniki XX-lecia Zakonu i Roczniki Zakonu (Rok XIV),
- podsumowano obchody jubileuszu XX-lecia reaktywacji Zakonu i poinformowano o bieżących działaniach Kapituły.



Wielki Mistrz Henryk Chwaliński otwiera Walne Zgromadzenie ZKOZJ, fot. Magda Langer

W trakcie spotkania tradycyjnie odbyły się zawody w strzelaniu do „Tarczy Złotego Jelenia”, które zostały przeprowadzone na strzelnicy Nadleśnictwa Biłgoraj. W zawodach zwy-



Uczestnicy Walnego Zgromadzenia Zakonu, fot. Janusz Siek



Wielki Mistrz Henryk Chwaliński wręcza insygnia Zakonu Kawalerowi Januszowi Siekowi, fot. Magda Langer

cięzył Wielki Mistrz Henryk Chwaliński. Realizując program Dorocznego Zgromadzenia ZKOZJ, członkowie Zakonu uczestniczyli w dniu 25 października w polowaniu zbiorowym, zorganizowanym w OHZ-LP Lasy Janowskie w Nadleśnictwie Janów Lubelski. Królem polowania został Kawaler Maciej Bogdański, strzelając jelenia byka. Na zakończenie Zgromadzenia, 27 października 2019 roku, Zakon uczestniczył w uroczystej mszy św. w kościele parafialnym w Momotach Górnych.

11 listopada 2019 roku na Placu Wolności w Rzeszowie miały miejsce uroczystości związane z odsłonięciem pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego, na które to uroczystości za-





Pamiętkowe zdjęcie członków Zakonu z chorągwią, fot. Magda Langer



Ruszamy w knieję, fot. Magda Langer



Król polowania Maciej Bogdański, fot. Magda Langer



Uroczysty pokot, fot. Magda Langer





Uczestnicy strzelania do „Tarczy Złotego Jelenia”, fot. Magda Langer



Po uroczystej mszy świętej w kościele parafialnym w Momotach Górnych, fot. Magda Langer





proszenie otrzymał Zakon Kawalerów Orderu Złotego Jelenia. Zakon reprezentował Oficer Tadeusz Ryczaj.

15 listopada 2019 roku w Krzczonowie (woj. lubelskie) odbyły się uroczystości upamiętniające postać Leona Jeżowskiego, pełniącego obowiązki nadleśnego Leśnictwa Lublin, w drugiej połowie XIX wieku. Na zaproszenie Dyrektora RDLP w Lublinie – Pana Marka Kamoli w uroczystościach krzczonowskich uczestniczyli: Oficer Leszek Walenda oraz Kawalerowie Janusz Siek i Stanisław Ostański.



Uczestnicy spotkania zebraли się przed kościołem w Krzczonowie, fot. RDLP w Lublinie



Zapalenie zniczy na grobie Leona Jeżowskiego - nadleśnego Leśnictwa Lublin, fot. RDLP w Lublinie



Uczestnicy spotkania w lokalu Gminnej Biblioteki Publicznej w Krzczonowie, fot. RDLP w Lublinie





JULIAN FAŁAT I JEGO „TEKA MYŚLIWSKA”

Kiedy pierwszy raz ujrzałem - całkiem zresztą przypadkowo - litografie Juliana Fałata wchodzące w skład *I Teki myśliwskiej – łosie i niedźwiedzie. 8 autolitografii barwnych*, byłem zachwycony, aby nie powiedzieć oczarowany i zrobiłem wszystko, aby zostać ich nabywcą, co szczęśliwie udało mi się zrealizować. Oczywiście, dla kolekcjonera obrazów to nie to samo, co posiadanie oryginalnych obrazów, ale w tym przypadku spełnił się chyba całkowicie zamiśł artysty i wydawców, aby z uwagi na „wysokie ceny obrazów oraz sztychów uniemożliwiające nabycie ich szerszemu ogółowi inteligencji polskiej ... dać społeczeństwu tanie i artystyczne oraz oryginalne dzieła najwybitniejszych polskich plastyków”. Początkowo zamierzeniem Juliana Fałata i wydawców było wydanie kilku cyklów o różnej tematyce łowieckiej, stąd w tytule *I Teki myśliwska*, ostatecznie wydana w lipcu 1923 roku przez Oddział Litograficzny „Sztuka” Pomorskiej Drukarni Rolniczej S.A. w Toruniu. Planowano, że teka zawierać będzie 10 barwnych autolitografii, jednak ostatecznie jest ich tylko osiem.



Roman Kazimierz
Badowski



Teka - prospekt

Choć autor liczył na pokaźne tantiemy ze sprzedaży *Teki*, to jednak ostatecznie przeznaczył je na cele charytatywne.

Warto tutaj przypomnieć czym jest litografia w stosunku do innych technik malarskich. Litografia (z greckiego *líthos* „kamień”, *gráphō* „piszę”) jako metoda drukowania i technika graficzna, także nazwa odbitki wykonanej tą metodą, zaliczana do druku płaskiego, została wynaleziona przez Alojzego Senefeldera w 1798 roku. Była to przełomowa technika, gdyż zapoczątkowała druk płaski, bez konieczności drążenia czy dłubania matryc, aby uzyskać druk wklęsły lub wypukły. Powierzchnie drukujące i nie-

drukujące matrycy pozostawały na tym samym poziomie. Istota procesu polega na naniesieniu rysunku zatłuszczającą kredką lub tuszem litograficznym na kamień, najczęściej gładko wypolerowany. Za najlepszy kamień, jako materiał do matryc, uznaje się łupek wapienny, gdyż jest jednolity, łatwo poddaje się obróbce i trawi. Następnie powierzchnia kamienia jest zakwaszana roztworem kwasu azotowego i gumy arabskiej. Niezarysowane elementy stają się oleofobowe, czyli odporne na zatłuszczenie farbą a zarazem hydrofilne. Z kolei rysunek zwilża się wodą a następnie nanosi się na niego farbę, którą przyjmują oleofilowe, niewy-





trawione, zatłuszczone wcześniej kredką lub tuszem fragmenty. Wystarczy teraz wykonać odbitki przyciskając prasą wilgotny papier do kamienia stanowiącego matrycę.

Przy użyciu techniki litograficznej można też wykonać matryce na płytach aluminiowych - algrafia i cynkowych - cynkografia. Na kamień litograficzny można również nanosić rysunek metodą fotochemiczną, stosując warstwę światłoczułą.

W przypadku gdy chcemy stworzyć litografie kolorowe, przygotowuje się oddzielną matrycę dla każdego koloru. To z kolei wiąże się nie tylko z czasem poświęconym na stworzenie kolejnej matrycy, wymaga także trudu przy dopasowaniu nadruku kolejnych kolorów.

Najczęściej rysunki wykonane przez artystów były przenoszone ręcznie przez rzemieślników - litografów - na kamienie litograficzne. Takie litografie zatracają wszakże indywidualne cechy twórcy - jak mówiono - „jego ręki”, stąd niektórzy artyści graficy zaczęli sami nanosić obraz na kamień litograficzny. Te nazywamy autolitografiami. Często, choć nie zawsze, obrazy na kamieniu były sygnowane przez artystę lub opatrywane uwagami. Technika litograficzna jest obecnie stosowana wyłącznie w grafice artystycznej, w poligrafii została zastąpiona przez offset.

Techniką tą posługiwało się wielu wybitnych artystów, do których należą Marc Chagall, Pablo Picasso, Henri de Toulouse-Lautrec, Pierre-Auguste Renoir, Henri Matisse. W Polsce litografię uprawiali prawie wszyscy artyści zajmujący się grafiką, wybitnymi litografami byli: Teodor Axentowicz, Waław Borowski, Kazimierz Sichulski, Jan Stanisławski, Leon Wyczółkowski, Stanisław Wyspiański. Nieliczne prace są także dziełem Juliana Fałata. W tym przedmiotowa *Teka myśliwska*. Julian Fałat to jednak przede wszystkim akwarelista. Tę technikę malarską doprowadził do perfekcji. Stąd uważany jest za jednego z najwybitniejszych, jeżeli nie za najwybitniejszego polskiego akwarelistę.

Julian Fałat urodził się 30 lipca 1853 roku w Tuligłowach koło Lwowa w niezamożnej rodzinie wiejskiego organisty. Nie był dzieckiem zdolnym, nauka przychodziła mu z trudem, ale był utalentowanym malarzem. Po licznych perturbacjach porzucił ostatecznie w 3 klasie gimnazjum w Przemyśle i w 1869 roku podjął naukę w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie. Z wyboru, a w zasadzie z konieczności, zainteresował się malarstwem akwarelowym, jako że nie było go stać na farby olejne. Na studia i na życie zarabiał jako rysownik przy pracach archeologicznych, technik przy budowie kolei, malując pejzaże, sceny rodzajowe, a także portrety. Odbił wiele podróży, w tym podróż dookoła świata (Marsylia, Port-Said, Aden, Cejlon, Singapur, Hong-Kong, Jokohama, San-Francisco, Nowy Jork, Brema, Monachium), którą udokumentował nielicznymi dziś akwarelami. Po powrocie w jego malarstwie pojawiły się sceny myśliwskie, co niewątpliwie miało związek z jego udziałem w polowaniu na niedźwiedzie w Nieświeżu, zorganizowanym dla Wilhelma Pruskiego - późniejszego cesarza Wilhelma II, przez księcia Antoniego Radziwiłła - byłego generalnego adiutanta Wilhelma I. Odtąd wielokrotnie gościł w dobrach księżęcych na polowaniach, częściej ze szkicownikiem niż jako myśliwy. Nieświeskie spotkanie z Księciem Pruskim, zachwyconym pracami Fałata, zaowocowało zaproszeniem go do Berlina, gdzie przez kilka lat, jako oficjalny rysownik cesarski miał swoją pracownię. Tu swoim talentem uwiecznił sceny z polowań Wilhelma II w jego łowieckich dobrach, między innymi w Hubertusstock. Tak wspomina te czasy w listach do brata: „*Cesarstwo oboje są mi niezmiernie przyjaźnie usposobieni, jak również i całe*





otoczenie. Mam uczucie, że jestem w domu najlepszego przyjaciela”.

Tematyka jego prac była wszechstronna. Malował sceny rodzajowe, pejzaże, portrety, krajobrazy a wśród nich zimowe widoki z okolic Bystrej zachwycające mistrzowskim oddaniem bieli śniegu w różnych odcieniach szarości, blasków słońca i cieni z niebieskimi i żółtawymi refleksami. Choć był wybitnym akwarelistą, to jednak równie swobodnie malował olejem i pastelem. Czegokolwiek by jednak o Fałacie nie powiedzieć, to nas, myśliwych, szczególnie porusza przedstawiana w jego pracach tematyka łowiecka. Był myśliwym, czuł i potrafił w swoich pracach oddać klimat i czar polowania. W tym temacie zasłużył również na miano jednego z najwybitniejszych.



Za swe prace zdobywał liczne medale na wystawach m.in. w Berlinie, Monachium, Wiedniu. W roku 1902 zakupił i rozbudował willę, a następnie zbudował również swoją pracownię w Bystrej, gdzie po rezygnacji ze stanowiska rektora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie zamieszkał na stałe. Willa ta, zwana Fałatówką, jest obecnie Oddziałem Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej. Tutaj, w Bystrej, złożony ciężkim zapaleniem płuc umiera 9 lipca 1929 roku i tutaj też spoczywa na miejscowym cmentarzu.

Kiedy nabyłem *Tekę myśliwską*, moją uwagę zwróciły dwa fakty. Po pierwsze, litografie nie były opatrzone tytułami, po drugie, teka nie zawierała spisu. Nie wiedziałem w ogóle, czy takowy był. Wyjaśnienie znalazłem w opracowaniu Marii Grońskiej *Grafika w książce, tece i albumie - Zakład Narodowy im. Ossolińskich - Wydawnictwo, Wrocław, 1994 rok, cyt.: „FAŁAT JULIAN (1853-1929)*

Fałat Julian, I Teka myśliwska - łosie i niedźwiedzie. 8 autolitografii barwnych, [Toruń 1919-1920] Wyd. ar-



Autor artykułu przed Muzeum Juliana Fałata w Bystrej, oddziale Muzeum w Bielsku-Białej





tystyczne „Sztuka”,
Lit. Pomorskiej Druk.
Rolniczej, tabl. nlb. 8.

Bez spisu; lit. b.:
Pejzaż zimowy z łoś-
siem, Pejzaż zimowy
z saniami, Łoś, Las
w zimie z łośiami
i niedźwiedziami, Po-
lowanie na łośia zimą,
Niedźwiedź, Jelenie,
Pochód myśliwych
z sankami. Zb.: BUW
– egz. bez oryg. okł.
i k. tyt. Osobny zapis

poświęcono grafice znajdującej
się w każdej bibliografowanej
pozycji, na wstępie podając wia-
domość o istnieniu w niej lub
braku, spis rycin oraz o sposo-
bie ich autoryzowania (sygno-
wania na klocek, płycie czy też
ręcznego). Z kolei podawano
technikę wykonania oraz tytuły
rycin opierając się na spisach,
ewentualnie objaśnieniach arty-
stów umieszczonych na samych
obiektach, co również zazna-
czono; w wypadku ich braku.
...w większości bibliografowa-
nych pozycji, zwłaszcza w tek-
kach, numeracja nie występuje, a kolejny układ plansz przeważnie nie ma istotnego znaczenia,
często może być przypadkowy, tak więc wprowadzenie numeracji stałoby się również takie”.

Z powyższych cytatów dowiadujemy się, że *Teka* nie zawiera spisu autolitografii, po dru-
gie zaś, że cytowane tytuły pochodzą od autorki, Marii Grońskiej.

Zasadniczym wątkiem niniejszego opracowania jest problem związany z użyciem w opra-
cowaniach, opisach, ofertach domów aukcyjnych, różnych, czasami zaskakująco nietrafio-
nych tytułów poszczególnych litografii. Zauważyłem, a wynika to także z faktu, że tematyka
i sceny przedstawione przez autora powtarzały się w jego wcześniejszych pracach, znanych
czasami także pod różnymi nazwami, co bywa znanym zjawiskiem. Przykładowo wspomnę
obraz Leonarda da Vinci *Mona Lisa*, znany także pod nazwą *Gioconda*, czy jak to ma miejsce
w odniesieniu do obrazu Juliana Fałata „Powrót z polowania z niedźwiedziem” znanym także



Przed wejściem do Fałatówki



Przy grobowcu Rodziny Fałatów



Grobowiec Rodziny Fałatów





1A, Łoś, Transport martwego łosia łodzią, Polowanie na Polesiu, Przewóz łodzią upolowanego łosia, **Powrót z polowania z łosiem**



1B, Powrót z polowania z łosiem [olej na płótnie, 78x158 cm; właściciel - Muzeum Górnośląskie w Bytomiu]



2A, Niedźwiedź, Powrót z polowania z niedźwiedziem, Powrót z niedźwiedziem, **Powrót z polowania na niedźwiedzia**



2B, Powrót z polowania na niedźwiedzia 1892 r. [olej na płótnie, 151,5x255 cm; właściciel - Muzeum Narodowe w Warszawie] inne nazwy: Powrót z niedźwiedziem



3A, Jelenie, Zabite jelenie, Nieśwież, **Po polowaniu w Hubertusstock**, Upolowane jelenie



3B, Po polowaniu w Hubertusstock [olej na płótnie]



4A, Pejzaż zimowy z łosiem, Łoś walczący z psami, Łoś i wilki, Łoś walczący z wilkami, Łoś napadnięty przez wilki, **Walka łosia z wilkami**



4B, Walka łosia z wilkami [olej na płótnie 90x187 cm; właściciel - Muzeum Narodowe w Warszawie] inne nazwy: Łoś walczący z wilkami, Łoś napadnięty przez wilki





5A, **Polowanie na łosia zimą**, Nieśwież, Strzał do łosia



5B, **Polowanie na łosie** 1917 r. [gwasz, tektura 54x95 cm; oferta Domu Aukcyjnego Polswiss Art aukcja 2017 r.]



6A, **Las w zimie z łosiami i niedźwiedziami**, Dwa łosie i niedźwiedź zimą, Krajobraz zimowy z parą łosi, **Łosie i niedźwiedzie**



6B **Łosie i niedźwiedzie** – strona tytułowa Teki



7A, **Pochód myśliwych z sankami**, Powrót z niedźwiedziem na saniach, Powrót z polowania, propozycja autora: **Powrót z polowania z niedźwiedziem na saniach**



7B, **Polowanie na niedźwiedzia** 1908 r. [akwarela, gwasz, kredka, papier naklejony na płótno 48x127 cm; własność prywatna, Aukcja DESA 2019 r.]



8A, **Pejzaż zimowy z saniami**, **Powrót z polowania na saniach**



8B, **Powrót z polowania na saniach** [olej na dykcie 37x66 cm; właściciel - Muzeum Historyczne w Bielsku-Białej]





jako „Powrót z niedźwiedziem”.

Choć wydaje się to naturalne i bardzo proste, co chcę w niniejszym opracowaniu wykazać, nikt tego faktu - podobieństwa pod względem tematyki, kompozycji sceny myśliwskiej - w pełni nie wykorzystał do zatytułowania poszczególnych autolitografii.

A podobieństwo niektórych scen jest wprost zbliżone do identyczności.

Nie uszło to zapewne uwagi i innym. W opracowaniu Teresy Dudek-Bojarek *Julian Fałat - życiorys pędzlem zapisany*, znajdujemy następujące fragmenty: „Pod wpływem przeżyć i poczynionych obserwacji tworzył szkice, rysunki i kompozycje akwarelowe, do których wielokrotnie sięgał w późniejszych latach, przenosząc na płótno lub sklejkę sceny myśliwskie. ...w oparciu o prace malarskie powstała autorska teka barwnych litografii z najpopularniejszymi motywami łowieckimi, czasem bezpośrednio skopiowanymi z obrazów olejnych bądź akwarelowych, innym razem nieco przetworzonych na potrzeby założeń wydawniczych”.

Równie cenną jest tutaj wiedza łowiecka, jaką niewątpliwie posiadają myśliwi, a której najwidoczniej zabrakło osobom nadającym tytuły litografiom.

Zaprezentowałem powyżej poszczególne litografie w zestawieniu z odpowiadającymi im wcześniejszymi pracami, zamieszczając także tytuły, z jakimi się spotkałem, boldem zaznaczając te z nich, które wydają mi się w oparciu o powyższy wywód, oraz jako myśliwemu, najbardziej odpowiednie. W przypadku litografii pierwszy tytuł pochodzi od autorki Marii Grońskiej z opracowania *Grafika w księżce, tece i albumie*.

Dla ułatwienia i porządku nadałem prezentowanym pracom kolejne numery, oraz zazna-
czyłem literą A litografie, zaś literą B najbardziej odpowiadające im obrazy J. Fałata.

Poza jednym wyjątkiem. Litografię w poz. 6 przedstawiającą łosie i niedźwiedzie w zimowej puszczańskej scenerii proponuję zatytułować **Łosie i niedźwiedzie**, gdyż moim skromnym zdaniem jest to wiodąca scena, najbardziej odpowiadająca tytułowi *Teki*.

PODSUMOWANIE

Niniejsze opracowanie nie ma charakteru pracy naukowej. Starłem się jedynie w oparciu o dostępne wiadomości, przedstawić dowody na poparcie moich przemyśleń i wątpliwości, odnoszących się do będących w powszechnym użyciu tytułów poszczególnych autolitografii, sugerując takie tytuły, jakie wynikają z charakteru przedstawionych scen myśliwskich, ich pierwowzorów oraz mojej wiedzy łowieckiej. Bez podstawowej wiedzy i akceptacji łowiec-
stwa, nie sposób prawidłowo odbierać i docenić dzieł wielu innych artystów, podejmujących tematykę łowów w różnych dziedzinach sztuki. Tym bardziej, że na przestrzeni dziejów łowiectwo odegrało znaczącą rolę kulturotwórczą, z czego doskonale zdawał sobie sprawę Julian Fałat, i czego potwierdzenie znajdujemy również w jego twórczości.





MIECZYŚŁAW ROMANOWSKI

– POETA, MYŚLIWY, POWSTANIEC



Mieczysław Jan Juliusz
Romanowski (1833-1863),
rys. Liliana Keller



Janusz Andrzej Siek

Mieczysław Romanowski urodził się 12 kwietnia 1834 roku we wsi Żukowo na Pokuciu, położonym na pograniczu dawnych ziem, lwowskiej i halickiej, obecnie Ukraina. Pochodził ze starej, zubożałej rodziny szlacheckiej, rodzice Erazm i Agnieszka z Głowackich przejawiali zainteresowania polityczne i kulturalne, byli gorącymi patriotami. Mieczysław Romanowski początki nauki otrzymał od matki, później od domowego nauczyciela. Następnie zdał egzamin do szkoły ludowej w Kołomyi, po jej ukończeniu uczęszczał do gimnazjum w Stanisławowie. Po złożeniu egzaminu maturalnego, zgodnie z wolą rodziców zapisał się na Wydział Prawa Uniwersytetu Franciszkańskiego we Lwowie. Pilnie studiował, nawiązał kontakty z młodzieżą uniwersytecką. W 1853 roku Maurycy Dzieduszycki wprowadził go do Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, gdzie korzystał z bogatej biblioteki.

W liście do swojego przyjaciela Kornela Ujejskiego w 1855 roku wyznał: *...od dziewiętego do dwudziestego roku prawie ideałem i szczęściem moim były: koń, psy i strzelba – o tym marzyłem, o tym śniłem; czułem się szczęśliwym, jak w lesie ze strzelbą lub na koniu z chartem polowałem też do woli...*

Debiutował w 1854 roku wierszowaną powieścią *Chorąży* i gawędą *Chart watażki*, opublikowanymi na łamach lwowskiego pisma literackiego „Nowiny”.

„Chart watażki” - Opowieść starego towarzysza z kresów

*1. Ot, mój bracie, wspomień miło,
Jak na kresach to się żyło!
W dzień podjazdy, pohulanka.
Często, gęsto krwawy taniec,
Gdy się zbliżyć śmiał pohaniec,
A po tańcu znów wieczorem
Przy ognisku, przed futorem,
Szła ochoczo pogadanka.*





Bo gdy człek dzień w pocie sprąży,
To wieczorek rad przegwarzy,
Albo starych dum posłucha,
Co lgną w serce i do ucha.

Ot tak, panie! znam te strony,
Tam wiek młody mknął jak woda.
Szabla krzywa, konik wrony,
Przy tem taniec, step, swoboda,
I te dumy i gawędy,
I starszego czasem zrzędy,
Kiedy w służbie się chybiło...
Och! to wszystko wspomnieć miło!
Bo połajał, gdy człek chybił,
Chwatu w oczy spojrział śmiało,
Nie ubarwiał mowy kwiatem,
„Tyś chwyt, bracie!“ rzekł, — dość na tem.
A i mnie tem uczcił słowem!
Gdy po tańcu obozowym,
Na samotrzeć raz w noc ciemną
My na kresach straż trzymali,
A wtem rumak spiął się ze mną,
Jakby czarci opętali,
I dał susa, drugi, trzeci,
Ściągam, próżno! — w stopy leci,
Wstrzymać trudno, tak ucieka...
A wtem Tatar mknął zdaleka.
Aha! — myślę — tu przyczyna;
On mi konia strzałą drasnął,
O! tom głośno, „hurra“ wrzasnął,
I w cwał ścigam poganina;
Wreszciem dognał, trzęzłę skrócę,
Na Tatara arkan rzucę,
W trok do kuli, i nuż cwałem
Ze zwierzyną powracałem.
A toć była nie nowina,
Schwytać żywcem Tatarzyna;
Człęk był młody, ręka silna,
I źrenica też niemylna.

Takto, kiedy lata płużą
Młodą siłą, czerstwem zdrowiem...





Leczy o tem prawić dużo. —
Aleć jeszcze coś opowiem.
Nasz Watażka był człek prawy,
Choć niemłody, w boju żwawy,
Zwinny, rzutny, jak wąż śliznął,
Temu odbił, tam znów gwizdnął.
Kiedy rąbał, to od ucha,
Jak ciął, panie, daj się Bogu!
Tam nie siadła pewnie mucha,
Siał trupami po rozłogu.
Lubił strzelby, polowanie,
Chętnie słuchał piesków granie,
Był myśliwy, dość ci na tem,
A polował zimą, latem.
A miał konia, bies nie szkapa!
Kiedy klasnął nań z harapa,
To jak ruszył,... hej! gdzie? panie!
Tu jaskółka tak nie lata,
Tylkoś słyszał szum, świstanie,
Mignął, niby ćma skrzydlata.
I rozumu tego niema,
By opisać wszystko snadnie,
Co zachwycił człek oczyma...
Często koncept z łba wypadnie...
Przytem charta; a wiesz, bracie,
I pojęcia wy nie macie:
Wiek po wieku w dal odplynie,
Ba, co mówię? i świat zginie,
A nie znajdzie się bestya,
Jak był chart ten! Zwał się Żmija.
Co za przemysł, polot jaki!
Pojedyнкą brał szaraki,
Lisa, panie, brał z wertepu,
W stepie bujał jak król stepu...
Żeśmy z dziwem nań patrzali —
A co zrobił, słuchaj dalej.

Była jesień, późna pora,
W stepie szaro liść opadał,
Gdy Watażka, raz z wieczora,
Przy ognisku mnie zagadał:
„Czas po temu, jutro, panie,





W dwójkę zrobim polowanie,
Pora dobra, pójdą łowy,
Ale do dnia bądź gotowy!...
Tak po rosie puścim smyka —
A obaczysz jak pomyka.“

2. Ledwie w stepie ranek błysnął,
Wraz z Watażką jedziem w pole.
Dzień był chmurny, czarne role;
Pan Watażka w palce gwizdnął,
Chart poskoczy, uchem strzyże,
I wyciąga nogi chyże.
„O! źle, panie“, myślę sobie,
Ponoś jedziem w lichej dobie,
Pies ponuro coś się wlecze,
Pewno szarak nam uciecze“.
Wtem koń utknął: „Ej do licha!“
Pan Watażka rzecze z cicha,
„Kołę utyka, chart ponury. —
Trzeba wziąć się na pazury.
Coś zła wróżba nam majaczy...
Czy gdzie czart nas nie zahaczy?“
I potoczył wzrok dokoła.
A wtem chłopak do nas woła:
„Panie! szarak w skibie leży,
A nuż! niech się z chartem mierzy“.

My w cwał! „he — co!“ kółkiem jedziem,
Na rzemieniu charta wiedziem,
A po „he — co“ chart weselszy.
Nos do wiatru, uchem rzuca,
Okiem wodzi coraz śmielszy,
A Watażka smycz przykróca:
„Wydźha!!!“, spuścił; chart po roli
Za szarakiem w lot sokoli
Pomknął, panie, jakby strzała,
Że aż ziemia zaświstała;
Lecim, pędzimy; szarak w nogi,
Przez zagony, przez rozłogi,
Wśród paździerzy ledwie miga, —
Chart tuż za nim, wciąż go ściga.
Ale zając w stepie znany,





Przytem znać już nieraz szczwany,
Wciąż się nowych zwrotów imał:
Chart go prawie w pysku trzymał,
On się zwinął, ciął kominka,
Pod psa skoczył, skręcił młynka,
Poza charta ruszył bokiem,
I już polem mknął szerokiem.
„U! gracz, widzę to nie lada“
Pan Watażka znów zagada,
„Zmyka dobrze, zwinna sztuka, —
Lecz dla charta to nauka.“
I spiął konia, z bata klasnął,
„Wydźha! wydźha!“ znowu wrzasnął,
My w cwał za nim. Trudna rada!
Ile razy chart przypada,
Zając umknie, wytnie susa,
I umyka, bieda kusa,

Pędzim, konie pomęczzone, —
Bo pędziło się niemało!...
A znasz, bracie, tamtą stronę:
Step! gdzie oko zasięgało, —
Lecz Watażkę to nie cieszy;
Gdzież się unieść tak daleko!
„Tu mająkę czarci wleką“.
Rzekł, i koniem znów pośpieszy,
I cwałuje po zagonie...
Ba, do kresów już my blisko,
A na drugiej zaraz stronie
Jest już hordy koczowisko.
Zwolnim biegu, bo czahary
Pasmem legły tuż przed nami.
„Pewnie w komysz umknął szary,
I gdzieś Żmiję tropem mamy“
Rzekł Watażka. A wtem, panie,
Fiu! Fiu! słyszym strzał świstanie,
Stąd i z owąd wyleciały,
Poprzed uszy przeszumiały...
A więc staniem, wzrok wytyżym,
Po pistolet w olstrę siężem,
Kurek w odwód, w temblak szable:
„Anu, wychodź teraz, dyable!“





Ba, nie żarty, u! źle będzie,
Tu Tatarów siła wszędzie;
Ze trzydziestu wyleciało,
Aż mi serce w piersi stało,
Bo sposobu uciec niema,
A czart sile tej wytrzyma?
Wpadną na nas, my wypalim
I dwóch zaraz na ziem zwalim.
Znów wystrzelim, znów dwóch leży, —
Ale reszta hurmem bieży;
My do szabel, — trudna rada,
Lecz się poddać nie wypada —
Więc poskoczym w lewo, w prawo,
Nuż po kurkach gęsto, żwawo,
Silną dłońią po staremu,
Aleć trudno sprostać temu.
Choć człek rąbie, bije, trąca:
Gdzie psów wiele, śmierć zająca.
Spadł Watażka w głowę cięty,
I od pogan zaraz wzięty.
Jam go bronić chciał, lecz marno,
Wnet się do mnie wrogi zgarną,
Ścisną, zepną naokoło,
Szablą niema machnąć kędy,
Gdzie się zwrócę, tamy wszędy...
A wtem jeden ciął mię w czoło,
I choć cios mu ten oddałem,
Jednak umknąć nie zdołałem;
Krew mi, panie, śćmiła oczy,
Horda na mnie wnet poskoczy,
Zranionego z konia wzięto,
Ręce sznurem mi śćśnięto,
I kazano ruszać przodem; —
Tak my w jasyr szli pochodem!

3. Hej! mój bracie, oh! to boli,
Kiedy wolny jest w niewoli,
Kiedy ręce ma związane.
O! wolałbym w serce ranę
Od zatrutej dostać strzały,
Bo człek przecie ginie wolny;
Tu żyć musi, żyć niezdolny. —





Z bolu piersi nam pękały!
Ci nas wiedli przez las smugą...
Pan Watażka milczał długo,
Czasem tylko okiem błysnął,
I zsiniałe usta ścisnął;
A nie westchnął ani razu,
Jakby piersi były z glazu:
Bo się wstydził zdradzić przecie,
Że ból twarde serce gniecie.

Tak nas wiedli przez dzień cały,
To lasami, to polami,
A gdy księżyc wyjrzał blady,
Do modlitwy wrogi staną.
My usiedli powiązani,
Chcemy usnąć, usnąć trudno,
Bo i jakoś sercu nudno
I wędrówką my znękani.
Jam jął pacierz szeptać z cicha,
Ba! i pacierz się nie klei,
Miał pokory, w sercu pycha;
Człek w jasyrze, bez nadziei,
Widzi troski i katuszę,
A więc pycha tłumi duszę,
Bo jest dumny, że wytrzyma,
Choć się na to serce zżyma.
Noc nadeszła, my nie spali;
Wrogi straże postawiali,
Reszta legła tuż za nami;
Wnet śpią wszyscy, a my sami
Siedzim, milczym; głucho, panie,
Ciszę tylko rwie chrapanie,
Lub zadzwoni rumak w pęta,
Lub się ruszy straż ocknięta,
I znów usną snem bez duszy,
Tylko liściem wiatr poruszy...
A wtem, panie, szmer się szerzy...
I ucichnie — jakby stało...
To znów kilka kroków bieży...
Staje, jakby coś szukało...
My słuchamy; wielki Boże!
I któż podziw skreślić może,





Kiedy widzimy, że chart Żmija
Przez komysze się przebija;
Staje, wietrzy, niby czyha...
Wtem Watażka gwizdnął z cicha:
Jam spoglądał a straż spała
I gwizdnięcia nie słyszała.
Gdy zasłyszał chart gwizdanie,
Eh! jak nie da susa, panie,
Powyż czahrów sadził skoki,
A tam czahar dość wysoki.
Wpadło psisko zadyszane,
Nuż się witać! nuż igraszka!
Skomlić, łasić! a Watażka
Podał ręce skrępowane
I popatrzył się psu w oczy:
Nagle zsmutniał pies ochoczy,
Ręce wachał, stał ponury,
Potem, panie — jakem żywy!
Patrzę, Boże! a to dziwy!

Chart zębami szarpał sznury,
Gryzł, rwał, kąsał, przegryzł wreszcie;
Myszę, panie: a czart bierz cię!
To cud istny, któżby wierzył?
Ja — nie, pierwszy, lecz tom przeżył.
Pan Watażka skoczył pędem
I z rąk moich zdjął powrozy;
Potem oba już, gdzie rzędem
Stały konie koło brzozy,
Więc za konie. — Patrzę w dali,
Gdzie Tatarzy spoczywali,
Na gałęzi wiszą szable;
Myszę: tu się zdadzą dyable!
I pocichu zdjąłem obie.
A gdym poczuł mą przy sobie,
O! to panie, jakem żywy,
Wtedy taki był szczęśliwy,
Żem do serca ję przycisnął,
I całusa nawet wcisnął,
Tak mi jakoś było rzewnie!
Pan Watażka spojrział gniewnie,
I rzekł: „Widzę, młokos waszeć,





*Ot i z biedy wylazł ledwie,
A już takie gra komedye,
Jakby wróble chciał wystraszyć“.
I pokazał palcem czaty:
„Wyrznąć trzeba te psu braty!“
Więc do szabel, czat zrzębali,
W skok na konia i w cwał dalej.*

*Tak my zemkli czaharami;
Chart poczciwy w trop za nami, —
A już błysły ranne zorze,
Gdy stanęliśmy w futuro.
Tu dopiero powitanie:
Chart na piersi skakał, panie,
Ręce lizał, to przypadał,
Ot, i ledwie nie zagadał!
A jam sobie stał na boku;
Łza mi, bracie, błysła w oku,
Myszę: „Boże! ac to zwierzę,
A tak ludzi kocha szczerze!“
I nie dziecko byłem przecie,
A splotałem się jak dziecię!*

Mieczysław Romanowski uprawiał poezję tyrtejską, nawoływał do walki o niepodległość ojczyzny. Większość jego poematów osadzona została w przeszłości, część dotyczyła też wydarzeń poświadczonych w dokumentach, np. wystąpienie mieszczan z Nowego Sącza przeciw Szwedom w 1655 roku w *Dziewczęciu z Sącza* – najwybitniejszym jego dziele. Utwór ten przedstawiał walkę patriotyczną kręgów mieszczańskich i plebejskich, co było oryginalne dla ówczesnej polskiej twórczości historycznej, skupiającej się na tradycji szlacheckiej.

Od 1862 roku Mieczysław Romanowski zaangażowany był w działalność konspiracyjną, dowodził około 30 osobowym oddziałem młodzieży lwowskiej, z którym wymaszerował w kierunku granicy 2 lutego 1863 roku, aby wziąć udział w Powstaniu Styczniowym. Próba przekroczenia granicy nie udała się, został złapany pod Artasowem i osadzony w więzieniu karmelitańskim we Lwowie. Po uwolnieniu z więzienia, na początku marca 1863 roku ponownie wyruszył do powstania, dołączył do oddziału powstańczego pod dowództwem Marcina Borelowskiego „Lelewela”. Otrzymał stopień kapitana i został adiutantem dowódcy. Działali na terenie południowej Lubelszczyzny, głównie powiatu biłgorajskiego. 16 kwietnia 1863 roku w rejonie Borowych Młynów nad Tanwią, 300-osobowy oddział „Lelewela” został zaatakowany przez siły rosyjskie pod dowództwem mjr. Iwana Sternberga i stawiał opór kilkakrotnie odrzucając przeciwnika uderzeniem na bagnety. Następnego dnia doszło do kolejnego boju między Łukową a Zamchem, w wyniku którego Rosjanie wycofali się w kierunku Biłgoraja.





Pomnik poświęcony Mieczysławowi Romanowskiemu, usytuowany przy drodze Józefów-Osuchy-Lukowa, fot. Liliana Keller



Pomnik na cmentarzu parafialnym w Józefowie poświęcony powstańcom styczniowym, fot. Janusz Siek



24 kwietnia 1863 roku oddział „Lelewela” został zaskoczony przez wojska rosyjskie podczas odpoczynku pod Józefowem. W walce poległo 27 powstańców, w tym kpt. Mieczysław Romanowski trafiony pociskiem w czoło. Pochowany jest prawdopodobnie na cmentarzu parafialnym w Józefowie.



Tanew w Borowych Młynach, z lewej strony kamień upamiętniający polowanie w Puszczy Solskiej Stefana Batorego, Jana Kochanowskiego i Jana Zamoyskiego, fot. Janusz Siek

Literatura

- Konrad Bartoszewski, *Mieczysław Romanowski. Poeta powstaniec*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1968 r.
- Bogdan Ostromęcki, *Mieczysław Romanowski. Poezje wybrane*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1974 r.
- Internet





HISTORIA RODZINY WOYNIŁŁOWICZÓW

Ziemie leżące w rejonie Kopylskim, obwód Miński, położone nad rzeką Morocz, rozciągające się w kierunku wschodnim po rzekę Wołok, a na zachód po rzekę Łań, należały w wieku XIX do rodu Woyniłłowiczów. Od południa graniczyły z Ordynacją Nieświeską ks. Radziwiłłów. Siedzibą majątku był dwór Czerwona Dubrowa (Mokran), majątkiem zarządzał wówczas Xsawery Woyniłłowicz (1863- 1923). W roku 1885 w Żyrzynie poślubił Emilię Drzewiecką (1860-1889). Około roku 1886 (1887) przyszedł na świat urodzony w Mokranach jedyny syn Józef. Dwór nie zachował się do dzisiaj, jako świadectwo pozostały zrujnowane oficyna, zabudowania gospodarcze i kaplica grobowa.



Henryk Leśniak

Józef Woyniłłowicz (1886 [1887] - 194?), dzieciństwo spędził w rodzinnym majątku. W roku 1901 rozpoczął naukę w Gimnazjum w Rydze. Zamieszkał jak wielu uczniów z polskich rodzin w pensjonacie państwa Hauke, tam zaprzyjaźnił się z Włodzimierzem Korsakiem, który w swych wspomnieniach tak opisuje ich pierwsze lata znajomości: „*W pierwszym roku szkoły poznałem kolegę ze stacji Józefa Woyniłłowicza z Mokran, leżących na północnym pograniczu Polesia. Józef okazał się najszczerzym i dozgonnym przyjacielem. Zbliżyła nas wspólna pasja do myślistwa. Podczas kolejnych wakacji odwiedziłem go w Mokranach, gdzie w sierpniu 1902 roku udało mi się zabić pierwszego grubego zwierza, ogromnego odyńca o olbrzymich szablach. Dzik był jednak tak stary, że fajek (klów górnej szczęki) nie miał już wcale, a niepełne trofeum nie było przyjmowane na wystawy łowieckie**). Z Józiem Woyniłłowiczem nazywanym przez kolegów Józwą, gdyż pod względem siły mógł się równać z Butrymem Sienkiewiczowskim, zżyliśmy się przez trzy lata pobytu w pensjonacie Hauków. Byliśmy jak para zgranych koni. Poza wspólną nauką łączył nas sport: gimnastyka, pływanie, »ślizgawka«, szermierka, a także przynależność do harcerstwa, uprawianego potajemnie przed władzami szkolnymi. Lubiliśmy ćwiczenia na drągu, czyli tak zwanym wówczas »reku«, zwłaszcza długą falę i podciąganie się na jednej ręce. Należało oprzeć brodę o zacisniętą na »reku« pięść. Obaj doszliśmy do takiej wprawy, że podnosiliśmy się po pięć razy na każdej ręce. Potem podnoszenie ciężarów. Odbywało się to w sali



Józef Woyniłłowicz po udanym polowaniu w Puszczy Juchowickiej (około 1902 roku), fot. z teki Józefa Woyniłłowicza z Mokran





gimnastycznej. Podnosiliśmy po dziesięć »pudów«, czyli sto sześćdziesiąt pięć kilogramów w dwóch kulach osadzonych na końcach metalowego drążka, wyrzucanego lub wolno dźwiganego do góry dwoma rękami. W domu gdzie miałem własną jedno ręczną »dwupudówkę«, ciskałszy ją sobie z jednego końca pokoju na drugi, łapiąc ciężar jedną ręką pomiędzy szeroko rozstawionymi nogami. To ostatnie ćwiczenie nie było groźne, gdyż mieszkaliśmy na parterze i żadnym sąsiadom nie groziło zawalenie sufitu w razie spóźnionego uchwytu. Przy tej zabawie „grały” mięśnie całego ciała, nabrzmiewały lub wiotczały mięśnie barkowe, piersiowe, brzuszne, ud i ramię. Fechtunek lekkimi szablami z hartowanej stali, ale o tępy ostrzu wzmacniał niebywale stawy i mięśnie dłoni i palców. Po kilkuletnim uprawianiu szermierki nabrały takiej siły, że każdy z nas mógł srebrnego rubla przyłożonego do dostatecznie twardej powierzchni, zgiąć pod kątem prostym. Miedzianej pięciokopiejówce, tej samej, co rubel wielkości, nie mogliśmy dać rady.



Odpooczynek po rannym polowaniu na toku w Puszczy Juchowickiej, od lewej: Włodzimierz Korsak, Józef Woyniłłowicz, łowczy Mincz z wyżłem Almq i gończyymi, fot. z teki Józefa Woyniłłowicza z Mokran



Dąb skaraciński na śródleśnej polanie w Mokranach, a przy nim Józef Woyniłłowicz i Włodzimierz Korsak, fot. z teki Józefa Woyniłłowicza z Mokran



Józef Woyniłłowicz pokonuje leśną strugę w Lesie Mo krańskim, fot. z teki Józefa Woyniłłowicza z Mokran

Uczyliśmy się też od specjalisty »dżiu – dżitsu«. Otrzymywaliśmy wskazówki i wyjaśnienia do chwytów obezwładniających przeciwnika, oraz takich, które zadają przeciwnikowi natychmiastową śmierć przez złamanie kręgosłupa. Okazały się pomocne dla Józia, kiedy był w dzikich górach Armenii, a dla mnie podczas mojej podróży azjatyckiej po powrocie z Hindukuszu”.





Korsak w oczekiwaniu na łosia w Lesie Mokrańskim, fot. z teki Józefa Woyniłłowicza z Mokran



Łoś ubity przez Józefa Woyniłłowicza w Mokrańskim Lesie, na „bankowej”, szczęśliwej linii, przy której trzymała się zwierzyna, fot. z teki Józefa Woyniłłowicza z Mokran



Góry Pontyjskie w dzisiejszej Turcji, droga z Bajburtu do Of, trzynastcie serpentyn schodzących w dolinę, którą budował m.in. Józef Woyniłłowicz w 1917 roku, <https://joemonster.org/art/47016>

ły w zwierzynę grubą, wśród której często spotkać można było rysie. W polowaniach brał udział również Edward Ropp.

Po zdaniu matury Józef Woyniłłowicz wstąpił w roku 1904 na pierwszy rok studiów rolniczych do Akademii Rolniczej w Dublanach pod Lwowem, w której studiował rolnictwo. Podczas studiów odwiedzał Włodzimierza Korsaka w Taborze, wspólnie zwiedzali kraje europejskie między innymi Francję, Niemcy, Danię, Szwecję.

Jako jedynak był zwolniony od służby wojskowej w armii carskiej, także Włodzimierz Korsak z uwagi na stan zdrowia, posiadali tak zwane białe bilety zwalniające z poboru. Sytuacja na froncie rosyjsko – niemieckim w czasie I wojny światowej, szczególnie braki kadrowe w carskim wojsku, spowodowała weryfikację biletów i powołania na front. Józwa z Włod-

Józefa Woyniłłowicza z Włodzimierzem Korsakiem połączyło wspólne zamiłowanie do poznawania praw przyrody i myślistwo. W czasie nauki w gimnazjum Józwa odwiedził kilkakrotnie dobra anińskie Korsaków, podczas pierwszego dziesięciodniowego pobytu wiosną, razem polowali na głuszcę w Puszczy Juchowickiej, w której upolował dwa koguty na tokowisku.

Często wspólnie polowali także w dobrach mokrańskich Woyniłłowiczów na Polesiu na dziki, łosie i wilki. Rozległe obszary leśne poprzedzielane pasmami bagien i łąk kośnych, przyległe do Ordynacji Nieświeskiej, obfitowa-





kiem, aby uniknąć wcielenia do armii wyruszyli wiosną 1916 roku na dwumiesięczną wyprawę myśliwską w Góry Kaukazu, między innymi w pasmo Kazbeku, tam polowali na tury – koziorożce kaukaskie oraz na bażanty na Zakaukaziu. Wrażenia z pobytu na Kaukazie i łowy opisał Włodzimierz Korsak w książce „Leśne ognisko” w opowiadaniu zatytułowanym „W Górach Kaukazu”.

Nie uniknął jednak służby wojskowej w wojsku carskim. Jesienią 1916 roku został powołany do jej odbycia i przydzielony do V Kaukaskiej Brygady Inżynieryjnej zajmującej się budową umocnień i dróg transportowych dla wojska. W 1917 roku pracował między innymi przy budowie nowej drogi prowadzącej z Bajburtu na północ do Of nad Morzem Czarnym, istniejącej do dziś, a jej trzynaście serpentyn schodzących po stromym stoku uchodzi za najniebezpieczniejszą drogę świata.



Pawilon leśno – łowiecki nadleśnictwa Rzepichów w dobrach Jarosława hr. Potockiego, wejście główne, od lewej stoją Włodzimierz Korsak, Józef Woyniłowicz, Jerzy Pruszkowski, fot. Włodzimierz Korsak

Po zakończeniu I wojny światowej i odzyskaniu niepodległości utworzona wschodnia granica Polski podzieliła majątek Mokransy, pozostał po polskiej stronie jedynie folwark Kuncowszczyzna, przy którym z rozległych leśnych terenów łowieckich pozostało około pięciuset hektarów, najlepsze mokrańskie tokowiska Uroczyska Chorupel pozostały po sowieckiej stronie. Potajemnie odwiedzał je kilkakrotnie spotykając się ze starym zaufanym gajowym Chwiedorem.

Józef Woyniłowicz od pierwszych dni odzyskania niepodległości prowadził aktywną działalność w organizacjach rolniczych na kresach, angażował się w poprawę życia mieszkańców Polesia. Brał udział w organizowaniu wystaw rolniczych, między innymi w roku 1927 w Baranowiczach, na której pokazywane były osiągnięcia pierwszych lat odrodzonej ojczyzny.

Po dymisji Włodzimierza Korsaka ze stanowiska głównego łowczego, Józwa zaproponował mu mieszkanie u siebie. Korsak wraz z rodziną w maju 1926 roku pojawił się w Kuncewiczach. Wypróbowany przyjaciel oddał mu w posiadanie mały drewniany domek, a sam zamieszkał w dawnym domu rządzący. We wspomnieniach napisał: „Folwark położo-



Zima 1926/1927 roku w Kuncowszczyźnie była mroźna i śnieżna, drzewa pobielone szronem jaśnieją bielą w słońcu, Uroczysko Chorupel, fot. Włodzimierz Korsak





Hanna Grudzińska z chrześniaczką Włodzimierą Korską w sadzie w Kuncowszczyźnie, fot. Włodzimierz Korsk



Pokój gościnny w Kuncowszczyźnie, przy podwieczorku siedzą od lewej: Leszek Ossowski, Hanna Woyniłłowicz, państwo Anna i Rajmund Grudzińscy, Józef Woyniłłowicz i Lila Grudzińska, fot. Włodzimierz Korsk

ny był tuż przy rosyjskiej granicy, a dom oddalony był od słupa granicznego o siedemset metrów. Chrzest córki naszej Włodki zamierzaliśmy sprawić w Kuncowszczyźnie. Ojcem chrzestnym miał być Józio, na matkę zaś chciała Fela zaprosić najstarszą z panien Grudzińskich z Wołynia Annę – Hankę (1899 – 1942), której siostry Fela uczyła przed wyjazdem do Kisłowodzka. Pojechaliśmy po nią we troje świeżo nabytym przez Józia małym, krótkim fordzikiem, otwartym, z podnoszoną w razie potrzeby budą. Do szosy było dwa kilometry marnej polnej drogi, dalej zaś do stacji kolejowej Lachowicze czterdzieści kilometrów, które przebyliśmy w godzinę, by z radością powitać wysiadającego z pociągu miłego gościa. Było to w lipcu 1926 roku.



Gabinet Józefa Woyniłłowicza, na wprosi widać łosia strzelonego na bankowej linii, poniżej dwie torby myśliwskie, po prawej m.in. rogi tura – koziorożca kaukaskiego, którego ubił w Górach Pontyjskich w 1917 roku, fot. Włodzimierz Korsk

Już w drodze powrotnej mogłem zauważyć, że Józio niezbyt dotąd wrażliwy na amory, był pod silnym wrażeniem Hanki, która i na mnie wywierała wielki urok swą urodą, specjalnym wdziękiem promieniującym od całej postaci. Była ona naszym gościem w Kuncowszczyźnie przez tydzień, ja zamieszkałem u Józia, a w naszym małym domku pozostał sam babinec, Hanka, Fela, Włodka i jej niania Monisia, przezywana przez dziecko Mynią.

Ostatniego dnia przed wyjazdem przyjęła Hanka wyraźne oświadczyzny Józia, który też w tydzień później pojechał przedstawić się jej rodzicom i oficjalnie prosić o jej rękę.

Ślub odbył się na wiosnę 1927 roku, jesień i zima zeszły nam z Józkiem na urządzaniu domu. Jeszcze jesienią niski parterowy dom o ceglanych, nietynkowanych ścianach połączo-





Wśród kwitnących jabłoni w sadzie w Kuncowszczyźnie, Hanna Woyniłłowicz, fot. Włodzimierz Korsak



Dwór Woyniłłowiczów, widok od strony ogrodu z roku 1936/1937, fot. ze zbiorów Anny Marii Ledóchowskiej



Józef Woyniłłowicz, jego żona Hanna i Włodzimierz Korsak w wagoniku kolejki wąskotorowej w Nadleśnictwie Rzepichów, fot. Włodzimierz Korsak



Polująca Pani, Hanna Woyniłłowicz na stanowisku, fot. Włodzimierz Korsak



Pointer angielski – Reks, fot. Włodzimierz Korsak

ny został długim na dwadzieścia kroków korytarzykiem z sąsiadującym również ceglany dawnym spichlerzem, do którego przeniesiona została kuchnia, spiżarnia i pokoje służbowe, a także na piętrze urządzono dwa gościnne pokoje. Wnętrze dawnego domu obejmowało cztery duże pokoje, gdzie tak jak w uprzednim spichlerzu postawiono nowe piece i dano nowe wewnętrzne otynkowanie.

Wszystkie te prace załatwione zostały jeszcze przed nastaniem mrozów, w zimie zaś przyszła kolej na tapetowanie ścian i malowanie sufitów, podłóg i drzwi, oraz na zakup mebli, po które wyjechała do Wilna Fela z Józkiem, ja zaś zostałem sam z dwuletnią córeczką i Monią – Mynią, która to nazwa przylgnęła do niej na cały okres pobytu u nas”.

„Chcę tu jeszcze wrócić do pobytu w Kuncowszczyźnie, bywałem tam tylko tymczasowo, ale Fela z Włódką bywały tam cały czas, mieszkając w małym domku i prowadząc swoje gospodarstwo domowe. Hanka Woyniłłowicz prędko przylgnęła do swej nowej siedziby, gdzie czynna jej natura znalazła ogromne pole do popisu, sad i ogród to było jej umiłowanie. Zasadzone przez nią drzewa dawały już obfity plon w ostatnich latach przed II Wojną Światową.





Z Wilna, co roku przyjeżdżaliśmy tam na letnie wakacje Feli, która pracowała, jako nauczycielka w gimnazjum, ja zaś w tym czasie brałem coroczny urlop. Józio wie prowadzili szerokie życie towarzyskie, bawiąc w licznych domach sąsiedztwa, między innymi w Nieświeżu do czasu śmierci ordynata Albrechta ks. Radziwiłła.



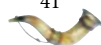
Polowanie w Deniskowiczach, w pierwszych saniach księżę Monako Ludwik II Grimaldi, w drugich w głębi Józef Woyniłłowicz (Łowiec Polski 1935 r.)

Zapaliła się też Hanka do myślistwa. W samej Kuncowszczyźnie polowań prawie nie było, kilka miotów na zające i lisy w ciągu zimowego sezonu, z rzadka przechodnie wilki. Zapraszani byli Józio wie na głuszce i dziki do przepięknych ostępów kniei Nieświeskiej, gdzie i ja z nimi bywałem mając parę dni wolnych. Oboje bardzo lubili psy i mieli przemiłe okazy: pointera angielskiego – Reksa i sukę seterkę irlandzką – Korę.

Reks był specjalnie do mnie przywiązany, czego dowodem był fakt, gdy w czasie mojej krótkiej zresztą choroby nie odstępował mnie ani na chwilę, a wzywany przez swego pana na codzienny spacer, lasił się do niego przeprasząc, po czym wracał i kładł się przy moim łóżku. Oba zaś psy poznały mój głos w radiu (w Wilnie miałem odczyt) i choć już spały, zerwały się oba i zaczęły mnie szukać, zaglądając nawet pod serwetę na stoliku, a potem patrząc z pretensją na swoich państwa i jakby pytając się, co się dzieje”.

Poprzez sąsiedztwo z Ordynacją Nieświeską i bliską znajomość z ordynatem Albrechtem ks. Radziwiłłem, Woyniłłowiczowie często bywali zapraszani na polowania, na głuszce, oraz polowania zbiorowe na dziki dla proszonych gości. Józwa często brał udział w polowaniach na ofladrowane wilki organizowane przez nadleśniczego Adama Bugałę w nadleśnictwie Ordynacji, w Deniskowiczach. W roku 1935 na polowanie przybył księżę Monako Ludwik II Grimaldi. W lutym w wileńskim „Słowie” zamieszczono o wizycie ważnego gościa na Polesiu krótką wzmiankę: „Po polowaniu i kolacji w restauracji na stacji kolejowej w Stołpcach odjechano specjalnym wagonem, doczepionym do mieszanego pociągu do nadleśnictwa Deniskowicze w powiecie Łuninieckim, gdzie goście ks. Radziwiłła wzięli udział w obławie na dziki. Uczestniczyli w niej ponadto: Karol ks. Radziwiłł, ks. Czetwertyński z synem, starosta Żmigrodski, p. Łoziński Konrad z Hołynki, p. Woyniłłowicz Józef z Kuncowszczyzny i mjr. Kircz, dowódca Baonu KOP w Klecku”. („Słowo”, wtorek, 26 luty 1935 rok)

Hanna i Józef Woyniłłowiczowie aktywnie uczestniczyli także w życiu okolicznych mieszkańców służąc radą i pomocą. Zaostrowiecze, miasteczko położone niedaleko Kuncowicz, powstało od podstaw podobnie jak Gdynia, i w tym samym czasie. Parafianie chcąc mieć własną świątynię, wymogli zezwolenie na budowę kościoła od ks. biskupa Zygmunta Łozińskiego, który przesłał je na ręce ks. proboszcza Małeckiego. „Po otrzymaniu tej decyzji parafianie gminy Zaostrowiecze wraz z częścią parafian gminy Hrycewieckiej przystąpili do wyboru Rady Parafialnej, która wybrała Komitet Budowy kościoła w następujących osobach:





Jaśnie Wielmożnego księcia Albrechta Radziwiłła, Wielmożnych Panów Woyniłłowicza Józefa, Haducha Zdzisława, kapitana Wolnego, Falkowskiego Telesfora, Podgórecznego Józefa i Okińczyca Eugeniusza". (Zbigniew Wołoczniak, 20 listopada 2013, Kresy24.pl)

Wschodnie pogranicze wielokrotnie było nękane zbrojnymi napadami sowieckich band współpracujących z NKWD. Według spisanej relacji Józefa Podgórecznego kierownika szkoły do 1939 roku w Zaostrowieczu na terenach przygranicznych działalność prowadzili szpiedzy kolaborujący z sowietami, a po wkroczeniu Niemców - z Niemcami. Zajmowali się oni także kompletowaniem listy Polaków wytypowanych do eksterminacji". (Wspomnienia Józefa Podgórecznego, Kresy24.pl)

Na listach tych najprawdopodobniej znajdowali się także Woyniłłowiczowie.

Włodzimierz Korsak w swym pamiętniku tak opisuje losy przyjaciół: „Józio chciał mieć syna, żadne jednak badania i zabiegi lekarskie nie przyczyniły się do powiększenia rodziny. Po wybuchu II Wojny Światowej musieli opuścić swój dom. Hanka na jedną dobę powróciła jeszcze do Kuncowszczyzny, gdzie jednak w nocy nastąpił napad band chuligańskich i poniosła męczeńską śmierć. O Józiu wszelki śluch zaginął i tak utraciliśmy dwoje najwierniejszych i zawsze szczerze oddanych przyjaciół.”

Hanna Woyniłłowicz po zagarnięciu terenów Kuncowszczyzny przez Niemców jesienią 1942 roku postanowiła odwiedzić swój dom, przebywając w nim krótko, w dniu 19 listopada 1942 roku została napadnięta przez bandytów i w bestialski sposób zamordowana. Ciało jej prawdopodobnie mieszkańcy Kuncewicz pogrzebali na pobliskim cmentarzu.

Józef Woyniłłowicz, gdy dotarła do niego wiadomość o zabójstwie żony, udał się do Kuncowszczyzny, aby odnaleźć zabójców. Nie jest wiadome jak potoczyły się jego dalsze losy.

Pierwsze zbrodnie pozostające bez kary rozzuchwały oprawców i doprowadziły do niewyobrażalnej tragedii i męczeństwa tysięcy Polaków na kresach wschodnich.

Fragmety noty biograficznej pochodzą z przygotowanej do wydania książki *Dziad Józefa Woyniłłowicza* w opracowaniu Henryka Leśniaka.



Kaplica grobowa rodziny Woyniłłowiczów na Starych Powązkach w Warszawie, z wyrytym z boku od prawej epitafium, o treści:

JÓZEF I HANNA Z GRUDZIŃSKICH
WOYNIŁŁOWICZOWIE
SYN, SYNOWA XAWEREGO

**) Trofeum zachowało się do dnia dzisiejszego i znajduje się w zbiorach kolekcjonerskich*





WŁADYSŁAW CZACHÓRSKI – MYŚLIWY, „MALARZ PIĘKNYCH KOBIET”

Władysław Maurycy Czachórski urodził się 22 września 1850 roku w Lublinie, tu ukończył męskie gimnazjum, którego rektorem był wówczas Józef Skłodowski, dziadek Marii Skłodowskiej-Curie. Za namową profesora rysunku i kaligrafii Witolda Urbańskiego, rodzice wysłali go na studia malarskie do warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Rozwijał swój talent w akademiach w Dreźnie i Monachium, we Włoszech i Francji. Po powrocie w 1879 roku do Monachium wykładał w Akademii Sztuk Pięknych. Tu nawiązał znajomości z czołowymi przedstawicielami polskiego malarstwa, Józefem Brandtem, Alfredem Kowalskim, braćmi Maksymilianem i Aleksandrem Gierymskimi, Juliuszem Kossakiem, Stanisławem Witkiewi-



Janusz Andrzej Siek



Władysław Maurycy Czachórski (1850-1911)



Władysław Czachórski urodził się w Lublinie w kamienicy stojącej przed wejściem do kościoła oo. Dominikanów, róg Złotej i Kłownowica



Tablica upamiętniająca miejsce urodzin Władysława Czachórskiego



Dworek Czachórskich w Grabowczyku, stan sprzed 1939 roku, fot. z książki „Władysława Czachórskiego żywot i sprawy”





W miejscu dawnego dworku, wybudowano budynek w stylu dworkowym, za budynkiem znajduje się park podworski z aleją lipową, wyschnięte stawy, fot. Janusz Siek



Na polowaniu, 1898 rok, od prawej: Władysław Czachórski, bratowa Jadwiga, proboszcz grabowiecki, brat Stanisław Czachórski, stajenny Matwiej(?), fot. z książki „Władysława Czachórskiego żywot i sprawy”



Obraz Władysława Czachórskiego „Cud świętego Walentego” z kościoła w Grabowcu, fot. z książki „Władysława Czachórskiego żywot i sprawy”



Miejsca obronne w Grabowcu i okolicy, zdobywane ongiś przez Kozaków i Tatarów, głębokie wąwozy Grabowca, Dańczypola, Glinisk można odnaleźć w „Ogniem i mieczem”, fot. Janusz Siek



Kościół parafialny w Grabowcu, tablica pamiątkowa poświęcona Czachórskim, fot. Liliana Keller i Janusz Siek





czem. Artysta na stałe mieszkał w Monachium, a do Grabowczyka - obecnie położonego w granicach gminy Grabowiec w powiecie zamojskim - do majątku rodziców przyjeżdżał na wypoczynek. Jako zapalony myśliwy dnie spędzał głównie na polowaniach.

W 1880 roku w dworze w Grabowczyku dwukrotnie gościł noblista Henryk Sienkiewicz. W swoim dzienniku Władysław Czachórski napisał, że z Sienkiewiczem jeździli po okolicy końmi, polowali, odwiedzali okolicznych ziemian w Skomorochach, Dańczypolu, Grabowcu. W wolnych chwilach Sienkiewicz pisał nowelę pt. *Niewola tatarska*. Miejsca obronne w Grabowcu i jego okolicy, odnajdujemy w powieści *Ogniem i mieczem* jako Czarotowy Jar, gdzie Horypna przetrzymywała kniaziównę Helenę.

Władysław Czachórski był jednym z twórców szkoły monachijskiej, malował sceny rodzajowe i kostiumowe, najciekawsze inspirowane dziełami Szekspira, martwe natury, widoki wnętrz, portrety. Rozgłos przyniosły mu wizerunki kobiece na tle bogatych wnętrz, malowane realistycznie. Mistrzowsko odtwarzał materię tkanin, kwiaty, klejnoty, atmosferę przepychu. Nazywano go „malarzem pięknych kobiet”. Jedną z czterech, znanych dzisiaj, martwych



Tu polowali Sienkiewicz z Czachórskim, fot. Janusz Siek



Obelisk w Dańczypolu upamiętniający pobyt Henryka Sienkiewicza na tym terenie, fot. Janusz Siek



W 1901 roku autor Trylogii odbył podróż wraz z siedemnastoletnią córką Jadwigą do Włoch, w Lugano Władysław Czachórski namalował jej portret, obecnie obraz znajduje się w Muzeum Henryka Sienkiewicza w Oblegorku



„Martwa natura z czaplą”, Władysław Czachórski, 1889 r., olej, płótno, 144,5x97 cm, Muzeum Narodowe w Warszawie





„List”, Władysław Czachórski, 1896 r., olej na płótnie, 49x72 cm

natur pędzla Czachórskiego jest „Martwa natura z czapłą”, pozostałe to: „Martwa natura z owocami”, „Martwa natura z kurą”, „Martwa natura z jarzynami”. Obraz ten z okazji otwarcia nowego gmachu w 1938 roku подарował Muzeum Narodowemu



Polski znaczek pocztowy nr katalogowy 1285, na podstawie obrazu „List” Władysława Czachórskiego



Grób Rodziny Czachórskich na cmentarzu w Grabowcu, fot. Liliana Keller

w Warszawie Bronisław Krystall (1887–1983) – warszawski kolekcjoner i mecenas artystów.

Władysław Czachórski zmarł w Monachium, jego ciało spoczęło

na cmentarzu w Grabowcu za sprawą bratowej, która je tu sprowadziła. W kościele w Grabowcu znajduje się obraz Władysława Czachórskiego „Cud świętego Walentego” z 1875 roku, to ofiara artysty za udane studia.

O śmierci malarza 13 stycznia 1911 roku, prasa krajowa pisała: „Sztandar sztuki polskiej niósł wysoko, imię kraju, którego był synem, rozślawił po całej Europie”... „malarstwa polskiego był ozdobą”.

Obecnie obrazy Czachórskiego cieszą się dużym powodzeniem, na rynku antykwarycznym osiągają wysokie ceny, między innymi cztery prace sprzedano za ponad 1 mln zł, najdroższą za 1,3 mln zł.

Literatura

- Henryk Piątkowski, *Wł. Czachórski MONOGRAFJE ARTYSTYCZNE*, tom XI, Kraków, 1927 rok
- Waclaw Jaroszyński, *Władysława Czachórskiego żywot i sprawy*, Lublin, 2004 rok





HISTORIA JEDNEGO KRZYŻA

Stał sobie. Stał cicho i spokojnie, przygarbiony, pomarszczony, naznaczony zębem czasu. Stał trochę zasępiiony i zadumany, jakby coś przemyślał i wracał do wydarzeń dziesiątków lat, które wokół niego się rozgrywały. Mech z północnej strony porastał jego zmurszały pień, ramię lekko przechyliło się w lewo. Stał tak sobie od lat, nie wiadomo kto, kiedy i po co go tu postawił i dlaczego właśnie w tym miejscu. Może miał coś symbolizować, o czymś świadczyć, może upamiętniał jakąś tajemniczą, radosną bądź tragiczną historię. Stał w środku lasu, jak to się mówi „na rozstaju dróg”. Na skrzyżowaniu pokręconej, błotnistej drogi, która przecinała wyboistą, dziurawą asfaltówkę, pamiętającą jeszcze gierkowskie czasy. Stał przy drodze, na której często ustawiano linię myśliwych, gdy polowano w skrzynickim lesie i którą nazywano „lisią drogą”, bo często ze świerkowego młodnika, teraz już mocno wyrosniętego, wypadały na nią puszyste lisiury.



*Henryk Krzysztof
Chwaliński*

Stał w zadumie przygnębiony i pewnie wspominał te wszystkie wspaniałe wschody i zachody słońca, wilgotne i ciepłe poranki, wieczorne zorze. Przechylił się lekko, jakby chciał wyciągnąć ramiona ku ciepłym promieniom słońca przebijającym przez korony drzew. Zaskrzypiał cicho na myśl o tych wszystkich mroźnych nocach, które musiał przetrzymać, westchnął na wspomnienie słotnych burz i wichur, które targały sosnami i czasem zrzucały na niego złamany konar. Liczył powoli ile dorodnych dziczych watah przemknęło w jego cieniu przez te wszystkie lata, ile sarnich rudli pasło się w otaczających go jeżynach, ile razy posnurował koło niego chytry lisek, ile wspaniałych chórów ptasich i trel mógł przez ten czas wysłuchać.

Tego grudniowego dnia polowaliśmy w lesie skrzynickim, zwykła zbiorówka, w planie odstrzału dzik, lis i koza. Między kolejnymi miotami schodziliśmy z „lisiej drogi” na asfaltówkę i przechodziliśmy koło krzyża. Janek szedł koło mnie, spojrzał przelotnie na krzyż i zagadnął:

- *Stary jakiś, pochylony, chyba wiele lat tu stoi, bo mocno sfatygowany.*

- *Uhm - odmruknąłem mało inteligentnie.*

- *Może warto byłoby go wyremontować albo postawić nowy?* – ciągnął dalej Janek ku memu zaskoczeniu.

Natychmiast „zastrzygłem uszami” i zdecydowanie ożywił się tok mojego myślenia.

- *To może byś podjął się zrobienia nowego* - rzuciłem dość odważnie i może mało dyplomatycznie.





Wiedziałem doskonale, że Janek bardzo chętnie podejmuje takie wyzwania, a jeśli chodzi o drewno, to zna się na nim jak mało kto. Przerabia przemysłowo ogromne ilości tego surowca będąc potentatem na rynku krajowym, a jego wyroby znane są nie tylko w Polsce ale bodajże w całej Europie.

- *No cóż, to zrobimy krzyż, potem domówimy szczegóły* - zadeklarował zdecydowanie.

Powiem szczerze, że zrobiło mi się strasznie miło na duszy. Pomysł postawienia nowego krzyża, który tak gwałtownie się zrodził, bardzo mnie zaskoczył a jednocześnie wzruszył i ucieszył. Wiedziałem też, że zostanie na pewno zrealizowany, bo jak Janek coś powie i obieca, to nie ma od tego odwrotu ani odwołania.

Minęło chyba z pół roku, gdy w trakcie jakiejś rozmowy telefonicznej Janek zagadnął:

- *No jak sprawa krzyża, nadal aktualna?*

- *Ależ oczywiście Jasiu!* – odparłem zdecydowanie.

- *Dobra, to powiedz na kiedy go chcesz i podaj mi wymiary.*

- *Chciałbym aby był gotowy na początek nowego sezonu łowieckiego tak, by na inauguracyjnym polowaniu hubertowskim stał już na miejscu i byśmy mogli poświęcić go przed polowaniem. Wymiary natychmiast ustalę i dogramy szczegóły.*

- *Załatwione, wszystko będzie na czas.*

Do hubertowskiego polowania pozostały jeszcze prawie dwa miesiące więc wiedziałem, że z krzyżem na pewno zdążymy. Pomyślałem jednak, że dobrze byłoby, gdyby na krzyżu wisiała figura Jezusa Chrystusa. Pięknie wyrzeźbiona w dębinie postać cierpiącego Chrystusa – któż mógłby ją wykonać – oczywiście Czesio. Wytrawny, doświadczony myśliwy, a do tego wspaniały, wiejski rzeźbiarz – amator, obdarzony wyjątkową wrażliwością estetyczną i autentycznym rzeźbiarskim talentem. Jego sprawne dłuto wykonało dziesiątki przeróżnego rodzaju rzeźb, płaskorzeźb, drzeworytów i innych bibelotów o charakterze łowieckim bądź sakralnym. Jego rzeźby, figury św. Huberta czy krucyfiksy zdobią wiele ołtarzy w kościelnych, łowieckich kaplicach, a także leśne kapliczki i przydrożne krzyże. Ozdobą myśliwskich pokoi wielu kolegów są liczne drobiazgi i łowieckie bibeloty, takie jak noże, przyborniki, szkatuły, laski i figurki wykonane po mistrzowski ręką Czesława.

Wiedziałem także, że Czesio nie odmówi mojej prośbie zarówno w imię długotrwałych więzów szczerzej i wzajemnej sympatii, jak i dlatego, że idea „odrodzenia” starego krzyża w lesie bardzo mu się spodoba. Nie myliłem się, w końcu października trzymałem w rękach wyrzeźbioną przez niego, piękną, dębową, prawie metrowej wysokości figurę Chrystusa. Zawiozłem ją niezwłocznie do firmy Janka, gdzie została umocowana na gotowym już krzyżu.

Dokładnie 3 listopada, a więc w dzień św. Huberta, załadowałem krzyż na ciężarówkę i zawiozłem do lasu skrzynickiego, na miejsce w którym miał stać, na to samo miejsce, w którym stał jego stary poprzednik. Nasz strażnik łowiecki Józek był już na miejscu z kilkoma stażystami. Chłopcy szybko i sprawnie uporali się z ustawieniem i umocowaniem nowego krzyża. Szczątki starego zostały dokładnie pocięte na kawałki, ułożone w stos ofiarny i zgodnie z tradycją miały być spalone w pobliżu nowego krzyża, w chwili jego poświęcenia.

A potem był już ten wyjątkowy dzień 11 listopada, dzień w którym przed laty nasza Ojczyzna odzyskała niepodległość, dzień w którym w lesie skrzynickim polowanie huber-





towskie inaugurowało sezon polowań zbiorowych. Cichy, spokojny, dostojny dzień, w którym ksiądz Mariusz, nasz kolega myśliwy, odprawił wśród strzelistych sosen skromną, ale bardzo piękną i uroczystą mszę polową i poświęcił nowy krzyż. Dzień, w którym przed krzyżem stanęli myśliwi, 17 nemrodów uczestników polowania hubertowskiego, koledzy naganiacze, wóz bojowy Ochotniczej Straży Pożarnej z całą załogą i okoliczni mieszkańcy, którzy zostali powiadomieni przez miejscowego proboszcza o tej uroczystości.

Był podniosły nastrój, chwila zadumy i refleksji, wspólna modlitwa, spalenie szczątków starego krzyża i „Boże coś Polskę” zaśpiewane na koniec. A potem już tylko hubertowskie polowanie. I tylko jedno zdanie z homilii księdza Mariusza ciągle powracało w moich myślach, że dziwnych czasów dożyliśmy, w których to jedni chcą krzyże zdejmować, a inni te krzyże stawiają po cichu i skromnie.

Tego dnia królem polowania został oczywiście Janek. Jakże by mogło być inaczej, skoro nasi święci patroni Hubert i Eustachy baczenie obserwowali z góry nasze poczynania i zapewne wiedzieli komu to „królestwo” - w tym szczególnym dniu - się należy. Janek strzelił kozę i lisa, niby nic wielkiego, jednak była to prawie cała zwierzyna ułożona tego dnia na pokocie. Do tego strzelał pięknie, kozę w kark w pełnym galopie i lisa w biegu sztucerową kulą. Duża satysfakcja i pełen profesjonalizm. Zapewne łowieckie niebiosa chciały w ten sposób podziękować Jankowi za ten krzyż piękny i chyba nie tylko za to. Łowiecka niwa wielokrotnie w zaszłości doświadczała Jankowej szczodrości i dobroci.

I teraz stoi sobie znowu, tu gdzie przedtem. Piękny, wzniosły, strzelisty, jaśniej zdrową dębiną, dumnie rozpina swe silne ramiona jakby chciał powiedzieć – chodźcie tu do mnie wszyscy, ja was przygramę i ochronię. Stoi ponownie „na rozstaju dróg”, jak drogowskaz, jak latarnia morska dla zbłąkanego wędrowca. Stoi i czeka na zmęczonego myśliwca, który przechodząc spojrzysz nań, przystanie, zaduma się chwilę i może odmówi „zdrowaśkę”. Stoi ponownie zapisując nową historię kniei, która go otacza i wzrasta wokół niego, zwierza, który znowu będzie w jego cieniu deptał nowe ścieżki i przesmyki, ludzi i myśliwych, którzy będą koło niego przechodzić, wokół niego polować i przy nim się modlić. Zapisuje i tworzy naszą historię łowiectwa, historię narodu.





PRZESĄDY I ZABOBONY, HUMOR I „ŁACINA” MYŚLIWSKA, ZWYCZAJE I TRADYCJE ŁOWIECKIE

„Myśliwski przesąd, narodzony w puszczy odwiecznej, z poszeptów drzew, z westchnień wiatru leśnego – żyje po dziś dzień w myśliwskim sercu”

Julian Ejsmond – „Zabobony myśliwskie”

Łowiectwo to jedna z najstarszych dziedzin działalności człowieka, głęboko zakorzenione jest w kulturze i tradycji ludzkich społeczności. Na nieprzebrane bogactwo wszystkiego co możemy ogarnąć pod jego pojęciem składa się ogrom zagadnień, pojęć i terminów. Można przyjąć tezę, że nie ma obecnie takiej dziedziny działalności człowieka, która nie miałaby większych lub mniejszych związków z łowiectwem. Związane ściśle z naszą kulturą, od wiek wieków myślistwo wytworzyło z biegiem czasu, oprócz odrębnego słownictwa, własne zwyczaje, wierzenia i przesady. Te przesady i zabobony myśliwskie to cała sfera zagadnień wywodzących się z pierwotnej magii i mistycznych obrzędów. Stanowiły one, zarówno dawniej jak i dzisiaj, obszerną część myśliwskiej obyczajowości.

Jak podaje Julian Ejsmond w „Zabobonach myśliwskich” – wyd. II z 1990 r. *„Myśl ludzka poczęła od chwili swoich narodzin zagłębiać się w tajemnice powodzeń i niepowodzeń łowieckich, klęsk i zwycięstw, triumfów i upadków, nadziei radosnych i bolesnych zwątpień. Stajemy u źródeł magii łowieckiej – u źródeł myśliwskiego zabobonu, nieśmiertelnego jak samo myślistwo”.*

Dzisiaj także, serca współczesnych myśliwych, podobnie jak naszych praociców, wypełnia prawieczny niepokój o powodzenie łowów, wielka niewiadoma myśliwskiej przygody. Co prawda nie jest to już zabobonny strach przed tym co kryje puszcza, niemniej jednak, lęk i obawy nadal trwają w naszej podświadomości. I jeśli nawet nie wszyscy współcześni łowcy przyznają się do tego, to jednak nie ma chyba obecnie myśliwego, który pozbawiony byłby zupełnie tych atawistycznych zachowań.

Co zatem przynosi pecha na łowach, czego należy unikać i jakich sytuacji przestrzegać?



Leszek Jan Walenda





Jedną z najgorszych wróżb, postrzeganych obecnie przez myśliwych, są życzenia „powodzenia i udanych łowów” składane przez uprzejmego sąsiada, czy dobrego znajomego, najczęściej w dobrej wierze. Po takich „uprzejmościach” najlepiej zrezygnować z zaplanowanego polowania i czym prędzej wrócić do domu. W przeciwnym razie, niepowodzenie na łowach gwarantowane. Dla niewtajemniczonych podajmy, że myśliwemu życzy się by mu bór darzył.



Napotkanie w drodze na polowanie starej i brzydkiej kobiety, a w szczególności zakonnicy, to bardzo zła wróżba. Podobnie spotkanie na swojej drodze kobiety z pustymi wiadrami źle wróży i lepiej wtedy zrezygnować w ogóle z dalszego polowania, nie kusząc złego. I przeciwnie, młoda, urodziwa kobieta z wiadrzem pełnym wody to zapowiedź pełnego sukcesu.

Jeśli myśliwy wychodząc na polowanie zapomni czegoś, np. strzelby, amunicji czy części ekwipunku, pod żadnym pozorem nie może się wrócić do domu, bo to pech murowany. Lepiej już biegać cały dzień po polach i lasach bez broni niż ryzykować i kusić zły los. Polując z psem wiele możemy wyczytać z zachowania naszego czworonożnego

partnera w łowach. Jeśli pies wypróżnia się ogonem w stronę myśliwego, czyli „na torbę” – to sukces łowiecki pewny. Jednak, gdy rzecz się dzieje „twarzą w twarz”, czyli „na puste pole” – to źle to wróży, a potencjalny sukces jest bardzo wątpliwy. Od najdawniejszych czasów na ziemiach polskich istnieje wiara, iż polowanie w uroczyste święta przynosi nieszczęście. Dlatego też współczesny myśliwy nie poluje w Boże Narodzenie i Święta Wielkanocne.

Dodatkowego omówienia wymaga wpływ kobiet na pomyślność łowów. Otóż nie wolno dopuścić do tego, ażeby kobieta dotknęła broni przed polowaniem. Zły efekt jest również wtedy, gdy garderoba kobieca, nawet ta najdelikatniejsza, znajdzie się w pobliżu strzelby bądź sztucera. Jeśli jednak już do tego dojdzie, konieczne będzie odczynienie broni, co jest procesem niezwykle trudnym i długotrwałym.

Jednym z najistotniejszych czynników jak najlepiej wróżącym sukces na polowaniu, jest dotyk damskiego kolanka. Oto jak powyższy zwyczaj opisuje Marek Ledwośński w książce „Tradycje i zwyczaje myśliwskie” - wyd. z 2005 r.: „Obszerniejszego omówienia wymaga zwyczaj chwytania damskiego kolana przed wyruszeniem na łowy. A to dlatego, że jest to zwyczaj bardzo powszechny, a jego korzenie mało znane. Tkwią one w pradziejach, w czasach, gdy polowanie na grubego zwierza było zajęciem śmiertelnie niebezpiecznym. Pradawni łowcy do takiej wyprawy przygotowywali się bardzo starannie. Aby rankiem być w jak najlepszej formie, noc spędzali wstrzemięźliwie. Bez kobiet. Z drugiej jednak strony, by podnieść poziom adrenaliny, niezbędnej na niebezpiecznych łowach, a przy tym ciągle mieć w pamięci rozkosze, jakie czekają, gdy polowanie uda się przeżyć, przodek myśliwy przed wyjściem na łowy oglądał swoje kobiety, a nawet je dotykał. Strategia ta przetrwała do naszych czasów w formie pogłaskania





damskiego kolana przed wyruszeniem na łów. Ze zwyczajem tym wiąże się zasada „im grubszy zwierz tym wyżej bierz”. Chodzi o to, że – w zależności od gatunku zwierzyny, na które chce się zapolować, a precyzyjnie w zależności od tego, jak srogie niebezpieczeństwo ów zwierz może sprowadzić na myśliwego – damę chwycić trzeba za właściwą część ciała. I tak: na przepiórki i kuropatwy wystarczy mały palec. Zając wymagał już całej stopy. Gdy myśliwy szedł na lisa – chwycił za kolano. Jeleń, a tym bardziej łos domagał się dotknięcia uda. O przygotowaniach do polowania na żubry, tury i niedźwiedzie stare podręczniki łowiectwa wstydliwie milczą...”

Starodawny obyczaj nakazuje również unikać na łowach słów potocznych. Współczesny myśliwy, podobnie jak dawni łowcy, winien posługiwać się wyłącznie gwarą łowiecką. Dawniej za nieprzestrzeganie słownictwa myśliwskiego wymierzano specjalne kary. Niestety, obecnie ten zwyczaj zaniknął już prawie zupełnie. Jak podaje Julian Ejsmond w cytowanych już „Zabobonach myśliwskich” – „Gwara łowiecka, bogata i dumna odmienna od mowy powszechnej i pełna tajemnic dla profanów, niewątpliwie pochodzenie swoje zawdzięcza magicznym zabobonom”.

Historyczny walor języka łowieckiego sprawia, że wraz z językiem literackim jest on kulturowym dobrem narodowym. Z tego powodu wymaga ochrony, czyli tego, by współcześni myśliwi biegle się nim posługiwali. Osobiście uważam, że ten aspekt, jakże ważny - jest w sposób niezadowolający propagowany i eksponowany przez obecne władze i struktury łowieckie wobec nowicjuszy w łowieckim bractwie. Upowszechnianiu języka łowieckiego, podobnie jak i idei całego łowiectwa, nie sprzyja obecna, głoszona powszechnie w mediach i środkach masowego przekazu nagonka na łowiectwo i świadome kształtowanie opinii publicznej jako nieprzychylniej łowiectwu, we wszelkich jego aspektach. Przykładowo, przeciwnicy łowiectwa jako argumentu dyskredytującego tę dziedzinę ak-



tywności człowieka twierdzą, że używanie przez myśliwych zwrotów języka łowieckiego, to nic innego jak swoista forma kamuflażu, maskująca pierwotne, krwiożercze instynkty myśliwych. Przykładowo, według tych oponentów użycie przez myśliwych słowa farba lub posoka zamiast krew, czy też określenie strzelić, czy pozyskać, a nie zabić, to nic innego jak ukrycie faktycznego znaczenia tych słów. I chociaż dla nas myśliwych tego rodzaju argumentacja jest absurdalna, to tym bardziej jako myśliwi mamy obowiązek posługiwać się naszą gwarą łowiecką w towarzystwie myśliwych i nie tylko. Jest to pokłon w stronę naszych myśliwskich przodków, naszych tradycji łowieckich. To oznaka wiedzy łowieckiej i demonstracja dobrowolnej przynależności do polującej części społeczeństwa. Zdaniem Juliana Ejsmonda: „Gwara łowiecka powstała z zabobonnych wierzeń łowieckich, po setkach lat stała się dumą myśliwych, widzących w niej swój klejnot szlachecki na odwieznej tradycji oparty, a odróżniający brać z pod znaku św. Huberta od szarego ogółu profanów i fryców”.





Przesady myśliwskie, chociaż do naszych czasów przetrwały już tylko nieliczne, w dalszym ciągu wywierają ogromny wpływ na zachowania i postępowanie ogółu współczesnych myśliwych. Trafnie ocenił to Julian Ejsmond mówiąc: „Przesady mają swoje przedziwne piękno i chwytający za serce urok. Dlatego, póki łowieckie serca bić będą – zabobon nie zginie. Jego piękno tkwi w tej dzielnej pierwotności, która jest czarem łowiectwa... I w tej pierwotnej niepożytej mocy przesądu jest jego urok i dzikie piękno”.

**„Zawždy dla zdrowia dobrego trzeba serca wesołego”
(„Facecje polskie” – 1624 r.)**

Tej prawdzie hołdowały całe pokolenia naszych łowców, tworząc tzw. „łacinę myśliwską”. Pod tym synonimem kryje się: dowcip, żart, fraszka czy satyryczny rysunek. Humor i „łacina myśliwska” odzwierciedlają bogactwo naszej kultury łowieckiej, są świadectwem upodobań i pasji myśliwskiej naszych przodków, powszechności i popularności łowiectwa w minionych wiekach oraz zwyczajów i etyki ówczesnych łowców. Łacina myśliwska to żartobliwe, zmyślane opowiadania o znakomitych przewagach lub mroźących krew w żyłach przygodach nemrodów. Myśliwi często opowiadają nieprawdopodobne historie z łowiska, czyniąc to z kamienną miną i powagą. Wielu słuchaczy daje wiarę często niewiarygodnym opowieściom. Trzeba jednak zaznaczyć, że niewielu myśliwych ma taki talent gawędziarski, a tych, którzy są nim obdarzeni, nazywamy łacinnikami. Humor myśliwski był zawsze obecny wśród braci myśliwskiej, zarówno wtedy gdy „bór darzył” a św. Hubert nie skąpił swych darów, ale również wtedy, gdy łowy były nieudane a pokot zerowy.

Ku rozweseleniu i z potrzeby serca, zawsze i w każdej myśliwskiej gromadzie byli i są łowcy, którzy potrafią obrócić w żart zarówno każdą nieprzewidzianą sytuację na polowaniu, jak i trafnie „scharakteryzować” kolegów z myśliwskich szeregów, podkreślając ich swoiste cechy, skłonności i zachowania. Bo zawsze byli i są wśród nas zarówno pudlarze, kłótnicy, czy malkontenci różnej maści, którzy na co dzień dają powody do ubarwiania swych postaci humorem myśliwskim.

Przykładem swojego łacinnika, osobą mającą szczególnie dar trafnego, pełnego literackiego humoru i dosadnego charakteryzowania postaci kolegów myśliwych, był powszechnie znany w środowisku lubelskich myśliwych śp. Kleofas Obuch. Ten myśliwy – poeta, jak rzadko kto potrafił trafnie, w wierszowanych strofach zawrzeć w sposób niezwykle humorystyczny portrety myśliwych oraz barwne opisy przygód łowieckich. W jednym z wielu cykli swoich wierszy „Portrety myśliwych” – pisał:

„...Moje zaś pisanie wzięło się z pragnienia,
By najlepszych przyjaciół mych od zapomnienia
Uchronić pośród braci myśliwskiej w Puławach,
Wierzę, że tak się stanie, bo to słuszna sprawa...”

A oto kilka fragmentów z wymienionego powyżej cyklu „Portrety myśliwych”:

Leśnik z Krasiczyna
„...Zawsze mówił, że spóźnia strzały ociupinkę





*I zamiast na komorę trafia zawsze w szynkę.
A że przy tym beztrosko nabojami szastał
To mu sztucer ochrzcili mianem „dupochlasta”...*

Antoś „Figlarz”

*„...Och, Ty Antku przechero, kiedy dzisiaj piszę,
Tę myśliwską kronikę, to wyraźnie słyszę
Ogromne salwy śmiechu, których Ty przyczyną
Byłeś zawsze najpierwszą, przez co będziesz słynął
Pewnie przez długie lata wśród myśliwych grona,
I myślę, że nieprędko ktoś w tym Cię pokona...”*

Henio „Mortales”

*„...Henio zawsze wesolek, dusza na wskroś szczerą
Był tylko cokolwieczek dłuższy od sztucera.
A strzelał jak Kiszkurno i pił jak Zagłoba,
Stąd wszyscy go lubili, wszystkim się podobał...”*

Leon „Pierozek”

*„... Weźmy chociaż Leona postać godna pióra(!)
Pan Bóg dał mu zdolności a skąpa natura
Była jakby złośliwa ciągle wobec niego,
Nic temu nie był winien, nie wiedział dlaczego
Innym wolno bezkarnie wypić pół beczułki.
A on musi po jednej lampce brać pigułki.
O mój drogi Leonie! – jeśli wspomnę czasem
Jak się gdzieś pod Gołębiem przezwalałeś kutasem,
Jak Ci później dzień cały nos na kwintę zwiślał,
A wkoło Ci dokuczano żeś spudłował lisa...”*

Broniek „Bufeto”

*„...Broniek był w naszym gronie kolegą serdecznym,
Uczynnym, towarzyskim i w miarę statecznym.
W „miarę”, bo gdy ją przebrał przy sutym stoliku,
Zaraz miał zaburzenia w tak zwanym błędniku,
Który ród homo sapiens utrzymuje w pionie
I jak sprawny gazomierz pokazuje żonie
Ileż to chłop na boku łyknął sobie trunku,
W jakim czasie, po ile i w jakim gatunku...”*

Edek „Nagończyk”

„...Edzio był u nas z dawna pierwszym pomocnikiem





*W gospodarstwie łowieckim oraz kierownikiem
Naganki w czasie łowów. Bywało czasami
Przyjeżdżamy po niego, a on zboże młóci.
Jeszcześmy nie podeszli, już robotę rzucił.
I pobiegł po kufajkę i filcowe buty,
I posłał też posłańca po innych, na skrót
I krzyknął „Hela, później dokończę robotę!”
Otworzył szerzej furtkę i już był za płotem...”*

Romek „Zbój Kaczy”

*„...Za to do dzików Romek wcale nie miał serca
I nie jeden mu za to dokuczał szyderca
Jak ten przy Piętaku co widział, że dziki
Stały przed nim na wprost, a ten już paniki
Nabrał nieskrywanej więcej niż potrzeba
A nawet się zdawało, że modły do nieba
Kieruje by odeszły precz z pola widzenia
Bo nawet nie chciał strzelby podnieść do ramienia...”*

Czesiek „Łydka”

*„...Nie lubił pieczystego pod żadną postacią
Z pióra, jak to się mówi między naszą bracią.
Zawsze więc, gdy nastrzelał ptactwa na tuziny
To zaraz u znajomych były odwiedziny
I nim dotarł do domu opróżniwszy troki,
Miało się ku północy, a on chwiejnym krokiem
Do drzwi swych się skradał jak kocur...”*

Staszek Neurolog

*„...Miał Staszek krew sarmaty, duszę zabijaki.
Nie płaszczył się przed nikim, nie stronił od draki.
Miał gest, gdy trzeba było i siłę przebicia,
Lubił wypić i innym nie zabraniał picia,
Chętnie wszystkim pomagał, nie patrzył korzyści,
Był ruchliwy, zaradny, nie znosił zawiści.
Miał tylko czasem, śmieszne, mieszczańskie słabostki
Lubił połysk, więc pokrył lakierem parostki,
Wieńce zaś na marmurach osadził ozdobnych...”*

I wiele by tu jeszcze można mnożyć przykładów zabawnego humoru zawartego w strofach autora - zainteresowanych odsyłam do wydawnictwa autorstwa Kleofasa Obucha „Piórem myśliwego” – wydanie z 2006 roku.





Cytując za Aleksandrą Matulewską w „Łacina i powiedzenia myśliwskie”, wyd. Kultura Łowiecka – z 2018 r.: „Łacinnicy są swego rodzaju „duszą” braci łowieckiej. Zapewniają rozrywkę, rozśmieszają, czy wręcz bawią do łez. Z tego jak potrafią integrować wspólnotę w kole, często zdajemy sobie sprawę dopiero wtedy, gdy odchodzą do krainy wiecznych łowów”.



Innym rodzajem myśliwskiego humoru są wesołe anegdoty i humorystyczne prześmiewki, których kilka przykładów zaczerpniętych z literatury cytuję poniżej za Albinem Kryńskim: „Z kart łowiectwa Polskiego” - wydanie z 1991 roku:

„Podlasie nie obfituje, jak wiadomo w zające. U Pana S. odbywało się polowanie. Pan Karol, gość z Warszawy, pokpiwa sobie z podlaskich zający i podlaskich strzelców, co cały dzień chodzą, a dwa razy strzelają.

- Panowie, uwaga! – powiada gospodarz do gości trochę zły. – Nie ma żartów, polowanie poważne, strzelamy tylko do zający. Nie bójcie się, nastrzelacie się dość.

- Ho, ho – powątpiewa złośliwie Pan Karol.

W pierwszym miocie puszcza kozła, czeka na zająca. Czeka, czeka. Wreszcie wychodzi na niego szarak. Pan Karol mierzy...

- Nie strzelać! Nie strzelać! – rozlega się krzyk na wszystkich stanowiskach. – To „Wandzia”! My do niej nigdy nie strzelamy!

Pan Karol z gniewem opuszcza strzelbę.

Drugi miot. Naganka rusza, długie oczekiwanie. Wreszcie między brzózkami pokazuje się zając.

Pan Karol niepewnie spogląda na miejscowych nemrodów.

- Wal pan! Wal pan! – wrzeszczy cała linia. To „Stefan”! My do niego zawsze strzelamy!”

„Posłuchajcie jakie miałem zdarzenie w ubiegłą niedzielę. Poluję i strzelam zająca. Mój pies „Aza” biegnie zająca aportować i w chwili, gdy już trzyma zająca, jakiś duży drapieżny ptak, który widać również upatrzył sobie tego zająca, uderza z szaloną szybkością z góry, chwyta w szpony mojego psa i odlatuje wraz z psem i zającem. Składam się więc co prędzej, strzelam i cóż moi panowie powiecie na to? Zając i ptak spadają, zaś pies poleciał dalej ...”

„Miałem legawca bardzo mądrego. Miał on jednak brzydkie zwyczaj leżenia na moim łóżku. Naturalnie dostawał za to lanie. Kładł się więc na łóżko tylko wtedy, gdy mnie nie było w pokoju. Za poruszeniem klamki zeskakiwał, gdyż wiedział, że czeka go kara. Ja zaś szedłem do łóżka i ręką badałem, czy miejsce jest ciepłe, co mi wskazywało, że pies leżał. Naturalnie zaraz baty. Raz wchodzę do pokoju, a mój pies dmucha na łóżko, żeby oziębic miejsce, na którym leżał ...”

A oto inny przykład humorystycznej historyjki zaczerpniętej z artykułu Wojciecha





Jerzego Podgórskiego pt. „Genealogia „łaciny” myśliwskiej” - wyd. Łowiec Polski nr 23, 24 z 1965 roku.

„Pewien myśliwy zatrzymał się nad otworem niewielkiej jamy pośród korzeni drzew, gwizdnął „fiu!” na wszelki wypadek, po czym usłyszał z jamy także „fiu!” w odpowiedzi. Strzelił w ciemną czeluść nory – i wyciągnął lisa. Idąc dalej napotkał nieco większą jamę, gwizdnął „fiu, fiu!” na wszelki wypadek, po czym dało się słyszeć także „fiu, fiu!” w odpowiedzi. Strzelił – wyciągnął borsuka. Następnie przeszedł jeszcze kilkaset metrów i spotkał się oko w oko z bardzo wielką jamą. Gwizdnął fiu, fiu, fiu!” ze zdumienia, po czym usłyszał w odpowiedzi przeciągłe fiu, fiu, fiuuu!” Złożył się do strzału...

Pogrzeb myśliwego odbył się nazajutrz. Wielka jama była bowiem własnością Polskich Kolei Państwowych...”

Tradycja to suma doświadczeń kulturowych i cywilizacyjnych przyjętych lub odziedziczonych po przodkach. Myśliwi przejmują w ramach tradycji przede wszystkim łowieckie zwyczaje i obyczaje. Cytując za Edwardem Szałapakim – „Tradycyjne zwyczaje łowieckie” - wydanie II z 2003 roku: „Zwyczaj myśliwski jest ustalonym sposobem zachowania się ludzi, który z szacunku dla tradycji (albo pod wpływem pojawiającej się mody) bywa tolerowany, a nawet szanowany”.

Przykładem znajomości zwyczaju łowieckiego jest ujmowanie lewą ręką kielicha podczas biesiady myśliwskiej. I tu stosowne wyjaśnienie podane przez Edwarda Szałapaka: „Stary łowcy twierdzą, że zwyczaj zaleca, aby myśliwy trzymał kielich w lewej dłoni. Powołują się przy tym na dwa przekazy tradycji. Pierwszy dotyczy bardzo popularnych w dawnych czasach polowań z psami gończymi. Otóż ówczesny łowca spełniając toast przy upolowanym zwierzu musiał ująć kielich lewą ręką, bo w prawej dzierżył ramię utrzymujące sforę ogarów. Drugi przekaz mówi o rycerzu zasiadającym w kniei przy stole przygotowanym do oblewin zdobyczy łowieckiej (okazjonalnego poczęstunku myśliwych). W uroczystości uczestniczyły kobiety i po prawej stronie rycerza znalazła się piękna dama. Kiedy podczaszy podawał mu kielich do prawicy (obejmującej zgrabną kibić) skarcił go: gdy prawa łowi lewa wznosi kielich”.

Spośród wielu zwyczajów łowieckich mających swój rodowód w dawnych wiekach, a kultywowanych i obecnie w większości kół łowieckich, przypomnijmy za Albinem Kryńskim trzy wywodzące się z dawnych czasów zwyczaje, zawarte w książce „Z kart łowiectwa polskiego” – wydanie z 1991 roku.

Chrzest myśliwski: „Ceremonii tej poddaje się myśliwy, który po raz pierwszy w życiu ubił grubego zwierza. Po otrąbieniu śmierci zwierzyny, najstarszy z uczestników polowania, wiekiem lub stanowiskiem myśliwskim, przypomina obowiązki prawego myśliwego, którym od tej chwili staje się dotychczasowy „fryc”, po czym odbiera od niego ślubowanie łowieckiej prawości. Następnie adept, z odkrytą głową klęka na lewe kolano, wspiera się lewą ręką o broń, prawą zaś kładzie na zdobyczy. Senior zanurza kordelas w ranie, która powaliła zwierza i kreśli nim krzyż na czole pasowanego, przyjmując go w ten sposób do grona „ćwików”, czyli wytrawnych myśliwych. Obyczaj nakazuje, aby do końca dnia łowów nie ścierać z czoła farby”.

Złom myśliwski: „To krótka (20-30 cm) gałązka drzewa lub krzewu typowego dla ostępu, w którym zdobyto zwierza. Myśliwy, któremu „zdarzył bór”, staje po stronie grzbietowej ubitego zwierza, jego towarzysz zaś odłamuje złom, część jego wkłada zwierzynie do pyska, jako





Ślubowanie myśliwskie w Kole Łowieckim nr 91 „Azotrop” w Puławach, 13 stycznia 2013 roku, fot. Leszek J. Walenda



Pokot i dekoracja Króla polowania w Kole Łowieckim nr 91 „Azotrop” w Puławach, 6 listopada 2005 roku, fot. Leszek J. Walenda



Pokot, Kolo Łowieckie nr 91 „Azotrop” w Puławach, 2012 rok, fot. Leszek J. Walenda

tak zwany ostatni kęs, resztę składa na ranie postrzałowej, po czym odrywa kawałek złomu, zbroczony farbą i na kordelasie bądź na kapeluszu wręcza go lewą ręką szczęśliwemu strzelcowi, ściskając mu jednocześnie prawicę, ze słowami: „Darz Bór!” Złom zakłada się za wstążkę kapelusza i nosi do końca dnia. Na polowaniach zbiorowych ceremonia ta powinna odbywać się przy dźwiękach trąbki myśliwskiej głoszącej śmierć zwierza, w obecności pozostałych myśliwych, natomiast gdy zwierz został zdobyty w pojedynkę, czynności tych dokonuje sam myśliwy. Tradycja wymaga, by złom odłamać (a nie odcinać nożem myśliwskim) i wręczać przed wypatroszeniem zdobyczy”.

Pokot: „Zwyczaj ten polega na ułożeniu ubitej zwierzyny według jej łowieckiej hierarchii. W pierwszym szeregu układa się wielkie drapieżniki, jak ryś czy wilk, w następnym kolejno: jelenie, danielle, dziki, sarny, lisy i inne drapieżniki futerkowe, zające, dzikie króliki, bażanty i inne ptactwo łowne. Zwierzynę układa się od prawej strony ku lewej, zawsze na prawym boku, przy czym co dziesiątą sztukę (ale tylko drobnej zwierzyny) wysuwa się o pół długości do przodu. Myśliwi stoją w szeregu u czoła pokotu, za pokotem ustawiają się trębacze, za





nimi naganka. Prowadzący polowanie ogłasza rozkład łowów, po czym następuje „otrąbienie rozkładu” fanfarą odrębną dla każdego, znajdującego się na rozkładzie gatunku zwierzyny, z wyjątkiem ptactwa, które otrąbia się wspólną fanfarą „śmierć pióra”. Po takim uczczeniu wszystkich gatunków zwierzyny rozlega się ostatnia fanfara „Darz Bór!” Zgodnie z tradycją myśliwi i naganiacze wysłuchują ogłoszenia wyników i fanfar z odkrytymi głowami. Obyczaj łowiecki zakazuje „przekraczać pokot”, to znaczy chodzić wśród ułożonej rzędami zwierzyny”.

Jak podaje wymieniony powyżej autor: „Przestrzeganie tradycyjnych zwyczajów ma przede wszystkim na celu pogłębienie i wzbogacenie przeżyć myśliwskich, podkreślenie estetycznej strony łowiectwa, zacieśnianie więzów przyjaźni między myśliwymi, wreszcie wyrabianie poszanowania dla zwierzyny, jako dla pokonanego w walce przeciwnika”.

Cytowany powyżej Marek Ledwośniński w „Tradycjach i zwyczajach myśliwskich” – wydanie z 2005 roku pisze:

Tradycja – rzecz święta. To nasze korzenie, szacunek dla przodków i ich dokonań, kopalnia historycznej wiedzy i świadectwo kulturowej wrażliwości. Pielęgnowanie wytworzonych przez wieki obrzędów, tradycji, obyczajów i zwyczajów łowieckich to dowód, że polowanie – tysiąc lat temu i dziś – to więcej niż zdobywanie mięsa i skór. Więcej niż sposób ochrony przyrody czy miła forma relaksu”.

To właśnie między innymi w uroku i dzikim pięknie przesądu, w jego pierwotnej, nie-spożytej mocy, w bezkresnych pokładach humoru i łaciny myśliwskiej, w zachowanych wielowiekowych i niepowtarzalnych, naszych narodowych zwyczajach, obyczajach i tradycjach myśliwskich, tkwi olbrzymia część tego co najcenniejsze w kulturze łowieckiej, a co stanowi olbrzymi zasób wiedzy ujętej pod ogólnym pojęciem o nazwie – łowiectwo.

Rysunki Zbigniew Damski – 3, Franciszek Kostrzewski – 1

Literatura

- Ejsmond Julian – *Zabobony myśliwskie* - Agencja Wydawnicza Pingwin, wyd. II, 1990 r.
- Kryński Albin – *Z kart łowiectwa polskiego* – Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa, 1991 r.
- Matulewska Aleksandra – *Łacina i powiedzenia myśliwskie* – Kultura Łowiecka – Oficyna Wydawnicza FOREST, 2018 r.
- Ledwośniński Marek – *Tradycje i zwyczaje myśliwskie* – Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa, 2005 r.
- Obuch Kleofas – *Piórem myśliwego* – Koło Łowieckie nr 91 AZOTROP – Puławy, 2006 r.
- Podgórski Wojciech Jerzy – *Genealogia „łaciny” myśliwskiej* – Łowiec Polski nr 23- 24 z 1965 r.
- Szałapak Edward – *Tradycyjne zwyczaje łowieckie* – AMIA, wyd. II, Wrocław, 2003 r.





PAN „ZWIERZYNIEC” - HISTORIA PEWNEGO MYŚLIWEGO, PRAWIE LEŚNIKA

Kiedy cofam się pamięcią do okresu dzieciństwa, przywołując moje ówczesne wyobrażenia na temat zawodu leśnika, mam przed oczami pewnego pana w średnim wieku z sumiastym wąsem. To pan Michał Sumiński, prowadzący w Telewizji Polskiej w latach 70. i 80. minionego wieku program przyrodniczy - „Zwierzyniec”.



Aneta Sławińska

Słyszac słowa piosenki: „*I kudłate i łaciate, przegowane i skrzydlate. Te, co skaczą i fruwać na nasz program zapraszają*” wiedziałam, że przez godzinę żadna siła nie będzie mnie w stanie oderwać od telewizora. Ten wspaniały gawędziarz - jak nikt na świecie - potrafił opowiadać o życiu i zwyczajach zwierząt. Michał Sumiński w stroju myśliwego (wówczas byłam przekonana, że leśnika), popularyzował zagadnienia przyrodnicze opowiadając o tajemnicach lasu i jego mieszkańców, ale czasami również o egzotycznych drapieźnikach z afrykańskiej sawanny. Gdyby żył dziś, niewątpliwie zostałby okrzyknięty wyjątkowym edukatorem leśnym. Tworzył niespotykany, interaktywny program z misją, który zachęcał do troski o faunę i florę. Pan Michał, chociaż nie miał wykształcenia leśnego, o lesie wiedział bardzo dużo i jak mało kto przyczynił się, w tamtych czasach, do popularyzowania wśród najmłodszych treści związanych z tematyką leśną.

Dzieci liczyły bociany, ocieplały psom budy, a w ramach akcji: „Gospoda pod szarym wróblem” uczyły się robić karmniki - wspominał pan Michał. Najbardziej zaangażowani młodzi miłośnicy przyrody należeli do zwierzyńcowego towarzystwa SOWA, czyli Stowarzyszenia O Większych Ambicjach i otrzymywali od redaktorów programu legitymacje, w których naklejali znaczki za działania ekologiczne. W nagrodę dostawali znaczki z rysunkiem ptaszka i napisem: „Przyjaciel przyrody”, które z dumą prezentowali potem koleżankom i kolegom.

Telewizyjna, wielka przygoda, zaczęła się dla pana Michała niespodziewanie. Zaproszony do programu „Ekran z bratkiem” opowiedział w tak interesujący i barwny sposób o swoim spotkaniu z lisem na leśnej ścieżce, że do redakcji napisało mnóstwo dzieci, oczarowanych jego przekazem. *Niech ten pan z wąsami coś jeszcze opowie!* - prosiły. Opowiadając o leśnych spotkaniach ze zwierzętami, pomijał temat polowań i wiele „dorosłych dzieci” ze zdziwieniem odkryło, że nie był leśnikiem a zapalonym myśliwym.





Dzieciństwo pana Michała

Ten miłośnik lasu urodził się w 1915 roku w gmachu Uniwersytetu Warszawskiego. Tutaj właśnie służbowe mieszkanie miał jego ojciec Stanisław Sumiński, doktor zoologii i światowej sławy specjalista od wążek. W czasie I wojny światowej, gdy Michał miał 1,5 roku, zmarła jego matka Janina Sumińska. Wychowywała go babcia Helena Sumińska i ciotka Janiszewska, z którymi mieszkał w 300-hektarowym majątku Leśniewo, koło Ciechanowa. Na 10. urodziny dostał od ojca strzelbę i zgodę na strzelanie do gawronów, srok i wróbli i jednocześnie zakaz strzelania do ptaków śpiewających. W dzieciństwie, spędzając mnóstwo czasu na łonie natury, miał okazję „nauczyć się lasu” z bliska obserwując życie leśnych mieszkańców.

Jako 13-latek Michał Sumiński wyjechał do Warszawy. Tu ukończył gimnazjum, prestiżowe liceum im. Mikołaja Reja, a w końcu zoologię na Uniwersytecie Warszawskim. Jeszcze jako nastolatek, często razem z ojcem gościł w rozgłośni Polskiego Radia, gdzie Stanisław Sumiński - „Pan od przyrody” - opowiadał historie z życia zwierząt. Kolejną pasją Michała stało się wkrótce żeglarstwo i to właśnie 1 września 1939 roku wrócił na swoim jachcie do Gdyni, z rejsu ze Szwecji.

Traumatyczne przeżycia wojenne

Michał Sumiński nie lubił wspominać czasu wojny. Synowi powtarzał, że co go nie zabiło, to go wzmocniło. Wkrótce po jej rozpoczęciu, ojca pana Michała aresztowało gestapo i trafił na Majdanek. On sam zaczął działać w ruchu oporu. W 1943 roku wylądował w Alei na Szucha, a następnie na Pawiaku. Wkrótce potem, gdy jeden z niemieckich żołnierzy, który go wcześniej rozpoznał i przyczynił się do jego aresztowania, Sumiński został więźniem Auschwitz o numerze 119464. Stąd został przeniesiony do obozu Mauthausen-Gusen, gdzie przebywał do 5 maja 1945 roku, aż do wyzwolenia obozu przez żołnierzy amerykańskich. *Gdy opuszczałem to miejsce, zwrócono mi z obozowego magazynu odebrany uprzednio zegarek i sygnet rodowy. Wydano przy tym zaświadczenie, że ważyłem 36 kilo* - opowiadał Michał Sumiński „Super Expressowi”. Niestety, po wojnie został pozbawiony majątku. Mało kto wiedział, że pan Michał miał szlacheckie korzenie, pochodził z rodu hrabiów Sumińskich herbu Leszczyc.

Żeglarska pasja

Po wojnie, jako 30 latek osiedlił się na Pomorzu. Pracował w spółce, a wkrótce został głównym inspektorem wychowania morskiego, inspektorem wyszkolenia morskiego i... kapitanem „Generała Zaruskiego”, czyli flagowego jachtu Ligi Morskiej. Pisał książki o tematyce żeglarskiej, a w radiu prowadził audycje dla marynarzy i rybaków. Polował, żeglował... Jednak w końcu zachwył nad światem przyrody, ogromna wiedza zoologiczna zdobyta dzięki ojcu i na studiach oraz edukacyjne leśne pasje - zwyciężyły.

Miłość do lasu i świata zwierząt

W jego przypadku, na szczęście nauka poszła w las. Michał Sumiński „dziedzicznie obciążony” miłością do natury, jak i do mediów, stał się jednym z najbardziej znanych po-





wojennych dziennikarzy. W 1968 roku zaczął się jego 20-letni okres współpracy z Telewizją Polską, w ramach realizacji programu „Zwierzyniec”. Wielu z nas pamięta jego niecodzienne, barwne zwroty powodujące, że mogliśmy się poczuć widzami i bezpośrednimi odbiorcami przedstawianej sceny. Ale to jak opowiadał, to była literatura mówiona – wspomina Maciej Ziemiński dla Styl.pl - ówczesny wiceszef redakcji dziecięcej.

Kolejną niesamowitą cechą Michała Sumińskiego była umiejętność naśladowania odgłosów zwierząt leśnych - wycia wilków, tokowania cietrzewi, klangoru dzikich gęsi... W jednym z nielicznych wywiadów przyznał, że rozumie mowę zwierząt. *Tygodnikowi Ciechanowskiemu* 90-letni wówczas Sumiński, tłumaczył o czym rozmawiają zwierzęta. *O jedzeniu, przyjemnościach i niebezpieczeństwach, a także o dziewczynach - tak jak my. A problemów w lesie, szczególnie zimą, nie brakuje. Czasem opowiadają sobie także o nas, ludziach, i to niezbyt pochlebnie. Niejeden by się zawstydział...*

Michał Sumiński miał też na koncie drobne role filmowe. W 1977 roku wystąpił w serialu telewizyjnym dla dzieci, ekranizacji powieści Hanny Ożogowskiej pt. „Dziewczyna i chłopak” w reżyserii Stanisława Lotha, gdzie zagrał rolę leśniczego - wujka tytułowych bohaterów. Angażował się w spotkania w szkołach o tematyce leśnej. Jako uczennica szkoły podstawowej w Lublinie miałam okazję i zaszczyt uczestniczyć w takiej przyrodniczej lekcji, prowadzonej przez mojego ulubionego „Pana z telewizji”. Te zajęcia zrobiły na mnie ogromne wrażenie i rozbudziły chęć zdobycia i przekazywania wiedzy związanej z „życiem lasu”.

Zarówno w trakcie jak i po zakończeniu kariery w telewizji realizował swoje myśliwskie pasje, które dzielił najpierw z żoną, a następnie również z synem. W rozmowie z portalem „dziennik-nowy.pl” opowiadał: *Lubię wszystkie zwierzęta, także te domowe. Ale oczywiście miałem kilku ulubieńców. Pamiętam pewnego zająca, z którym łączyły nas wspólne zwyczaje. Lubiłem czasem wyjść w nocy i zapolować. Wtedy, nie wiadomo skąd, on też się pojawiał i całkiem blisko przysiadał na tych swoich skokach. Zawsze było o czym pogadać. On mi opowiadał o leśnych problemach, a ja jemu o dobrych ludziach.* W wieku 91 lat pojechał z synem Piotrem do Kraju Ewenków na Syberii, aby polować w ramach kontrolowanego odstrzału na wilki. Nie przstraszyły go wówczas spartańskie warunki – ogromny mróz i wielki śnieg.

W 2001 roku ukazała się książka autorstwa Michała Sumińskiego „Gawędy o zwierzętach”. Na jej kartach zostały przedstawione niezwykle historie z życia polskiej fauny – obrazy natury malowane słowem. Pan Michał, kiedy tylko mógł, jeździł do lasu. Jako człowiek w podeszłym wieku opowiadał dziennikarzowi o tęsknocie za nim: *Najbardziej brakuje mi jego zapachu. No i odgłosów jego mieszkańców. Bywa, że rodzina zorganizuje mi przejażdżkę, ale ze względu na wiek bywa to dość kłopotliwe.* Za swoje zasługi otrzymał między innymi Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, jako zasłużony członek Związku Literatów Polskich, Order Uśmiechu, był także Honorowym Obywatelom Warszawy. Dla niektórych mniej chlubna karta w historii jego życia, to członkostwo w ZBOWiD i PZPR. Zmarł 25 grudnia 2011 roku. Został pochowany w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach.

Lekcja dla potomnych

Dla mnie poznanie historii życia człowieka, to często lekcja pokory i tolerancji. Czytając





o czasach wojennych i cierpieniu ludzi w tamtym okresie, czuję smutek i podziw. Jestem pełna uznania dla niezłomności ludzkiego charakteru, mimo nieludzkich warunków w jakich przyszło im żyć. Zachwyca mnie do dziś ogromną wiedzę pana Michała i pasją dzielenia się nią z innymi. Uwielbiam ludzi, którzy korzystając z doświadczenia i wiedzy swoich przodków, dochodzą do sukcesu sami, dzięki ciężkiej pracy. Po raz kolejny przekonuję się, że nie wszystko w życiu jest czarne i białe, a życie to również różne odcienie szarości. Można podziwiać danego człowieka za fachową wiedzę i jednocześnie nie do końca zgadzać się z jego prywatnymi poglądami. Bo przecież nawet święci, nie zawsze świętymi byli. Czasy w których żyjemy zmieniają się, ale każde weryfikują nas jako ludzi. Nasze człowieczeństwo to stosunek do drugiego człowieka i natury. To umiejętność szanowania innych, mimo dzielących nas różnic. I ważne jest to, co podkreśla papież Franciszek: *„Jeśli pozostajemy zamknięci w samych sobie, nie możemy się rozwijać. Natomiast gdy wychodzimy do ludzi, poznajemy inne kultury, inne sposoby myślenia, inne religie, zaczynamy tę wspólną przygodę, która nazywa się dialogiem”*.

Wypowiedzi Michała Sumińskiego zaczerpnięto z:

- <https://film.interia.pl/telewizja/news-michal-suminski-i-jego-zwierzyniec,-nId,2280883>
- <https://www.se.pl/wiadomosci/gwiazdy/michal-suminski-po-wyjsciu-z-obozu-wazyem-36-kilo-aa-kRNe-ADPU-yeuN.html>
- <https://film.wp.pl/michal-suminski-20-lat-prowadzil-jeden-z-najchetniej-ogladanych-programow-w-polsce-6042536362824321g/6>
- <https://gazetawroclawska.pl/michal-suminski-niezapomniany-pan-zwierzyniec/ar/488941>

O autorce: pracownik Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Lublinie, obecnie w Wydziale Ochrony Lasu. Jej pasją to edukacja przyrodnicza. Uwielbia dzieci i zwierzęta. Bliżej jej do wegetarianizmu niż myślistwa, ale jest otwarta na dialog.





ŁOWIECKA PASJA LENINA

7 listopada 1917 roku w Petersburgu, krążownik Aurora oddał wystrzał z pokładowego działa, co było sygnałem do rozpoczęcia rewolucji. W Rosji carskiej obowiązywał kalendarz juliański i zgodnie z tą rachubą czasu przewrót rozpoczął się w nocy z 24 na 25 października, stąd nazwa Rewolucja Październikowa. W Europie obowiązywał i obowiązuje do dziś kalendarz gregoriański, dlatego w czasach PRL-u święto rewolucji obchodzone było 7 listopada. Mało kto wie, że Włodzimierz Lenin był myśliwym.



Jerzy Szoltys



Lenin - medalion ze zbiorów autora artykułu

O wodzu Rewolucji Październikowej napisano prawie wszystko. Obok niezliczonych biografii i książek poświęconych działalności politycznej, znajdziemy również opracowania dotyczące jego życia prywatnego, np. Lenin i kobiety. Trudno jednak znaleźć wśród tych materiałów cokolwiek o jego myśliwskiej pasji.



Lenin - figurka ze zbiorów autora artykułu

Władimir Iljicz Uljanow - bo takie było jego prawdziwe nazwisko, urodził się 22 kwietnia 1870 roku w Symbirsku nad Wołgą, w rodzinie o korzeniach szwedzko-żydowsko-rosyjskich. Ojciec był nauczycielem, a matka lekarką. Miał pięcioro rodzeństwa. Od dzieciństwa był bardzo zdolnym i pilnym uczniem. Drugą klasę Gimnazjum w Symbirsku ukończył z samymi piątkami.

W wakacje państwo Uljanowie wyjeżdżali na letnisko do położonej wśród lasów, nieopodal rzeki, wioski Kukuszki. Starszy brat Aleksander pozostawał w mieście, siostry były zapraszane do ciotki, przebywał więc młody Wołodia w Kukuszki sam z rodzicami. Rodzina była w wiosce bardzo lubiana przez miejscowych chłopów. Matka Maria Aleksandrowna bezinteresownie leczyła wieśniaków ziołami i tym co przywozła z miasta.

Młody Wołodia był bardzo ruchliwy, śmiały i żądny przygód. Szybko zebrał liczną grupę miejscowych chłopaków, którym imponował pomysłowością i siłą, a równocześnie nie czuli w nim panicza z miasta. Chłopcy robili wyprawy do lasu, na pola, nad rzekę, gdzie kąpali się lub łowili ryby na wędkę. W lesie młody Uljanow polował. Sporządził sobie prawdziwy łuk i strzelał do ptaków. Czynił to w tajemnicy przed matką, która ganiła go za to. Lubił też hazard. Z miasta przywoził kości i grał z chłopakami wygrywając od nich małe wiewiórki, zajaczki, wyjęte z gniazda młode kosi i szczygły.





Nie przegrywał nigdy, aż przyłapano go, że gra kością obciążoną ołowiem i zawsze wylatuje najwyższa liczba punktów. Koledzy pobili go za to, jednak podziwiali jego pomysłowość.

Gimnazjum ukończył młody Uljanow jako wzorowy uczeń i podjął studia na wydziale prawa Uniwersytetu w Kazaniu. Za sprawą starszego brata Aleksandra, który podsuwał mu książki Karola Marksa, zaczęły kształtować się jego polityczne poglądy. Starszy brat brał udział w organizacji udanego zamachu na cara Aleksandra II i w spisku na cara Aleksandra III. Został za to stracony w 1887 roku. Wydarzenie to jeszcze bardziej pogłębiło marksistowskie poglądy Włodzimierza Iljicza.

Egzaminy z prawa zdał eksternistycznie na Uniwersytecie w Petersburgu w 1892 roku. Uczęszczał tam regularnie na spotkania marksistów i w pewnym momencie sam stał się obiektem polowania carskiej policji, tym bardziej, że był bratem zamachowca. Na jednym z takich zebrań, w lutym 1894 roku, poznał swoją przyszłą żonę Nadieżdę Krupską. W nocy z 8 na 9 grudnia 1895 roku Władimir Uljanow został aresztowany. Początkowo osadzono przyszłego wodza rewolucji w więzieniu, gdzie spędził 14 miesięcy. W lutym 1897 roku, w wieku 27 lat, został zesłany na trzy lata na Syberię. Skierowano go do wsi Szuszenskoje położonej u ujścia rzeki Szuszy do Jeniseju. Zamieszkał u bogatego chłopca Zyrianowa. Nadieżda Krupka, aresztowana w 1896 roku, również została zesłana, ale do Ufy. W styczniu 1898 roku Władimir Uljanow wysłał list do władz carskich z prośbą, by pozwolono mu odbywać resztę kary z narzeczoną w Szuszenskoje. Nadieżda i jej matka przebywające w Ufie postawiły jednak warunek, że wezmą ślub. Dotarli do Szuszenskoje w maju 1898 roku. W czerwcu, ku radości teściowej, wzięli ślub w miejscowej cerkwi, choć oboje byli ateistami. Ślub kościelny był wtedy jedyną drogą zawarcia legalnego małżeństwa w carskiej Rosji. Państwo Uljanowie zamieszkali w chacie na skraju wsi u chłopki A. Pietrowej. Carska zsyłka zdecydowanie różniła się od późniejszego sowieckiego Gułagu. Nie oznaczała więzienia, ale odosobnienie.

Uljanowie żyli w surowych, ale całkiem znoszonych warunkach. Otrzymywali korespondencję, książki, mieli co jeść i czym opałać chatę. Władimir dużo pisał, Nadieżda została jego sekretarką. Okolice wsi Szuszenskoje, położonej u zbiegu dwóch rzek, obfitowały we wszelkiego rodzaju ptactwo wodno-błotne. W wolnych chwilach przyszły wódz rewolucji oddawał się swojej myśliwskiej pasji. Przemierzał okoliczne mokradła ze swoim psem Żeńką i zawsze z czyś powracał z polowania. Towarzyszem jego łowieckich wypraw był miejscowy chłop Sosipatycz. Nowo poślubiona żona talentów kulinarnych nie miała. Mówiono o niej, że przypali nawet wodę w czajniku. Jedyne co potrafiła przyrządzić do jedzenia to jajecznicę. Sytuację ratowała jej matka Jelizawieta Krupka. Fantastycznie przyrządzała dziczyznę i jej zięć - wytrawny myśliwy traktował ją z szacunkiem. Młodych małżonków odwiedzali inni zesłańcy polityczni, którzy byli gościnnie przyjmowani i uczestniczyli w suto zakrapianych biesiadach. O nakarmienie gości zawsze troszczyła się teściowa. Nadieżda nie dbała również



Herb Szuszenskoje - miejsca zsyłki Lenina





o porządku po takich imprezach, czym wzbudzała konsternację męża. Jesienią 1900 roku Uljanowie zakończyli odbywanie kary w Szuszenskoje i udali się na trwającą 17 lat emigrację. Od stycznia 1901 roku Władimir Iljicz Uljanow zaczął podpisywać swoje prace pseudonimem Lenin. Tu następuje długa przerwa w jego polowaniach. Na krótko wraca Lenin do Rosji, w 1905 roku podczas pierwszej Rewolucji, jednak działalność ogranicza tylko do komentarzy prasowych. Na dobre wraca do Rosji 16 kwietnia 1917 roku, owacyjnie witany na Dworcu Fińskim w Petersburgu przez robotników i żołnierzy. Potem miały miejsce dziejowe wydarzenia Rewolucji Październikowej.

Na następne ślady łowieckiej pasji Lenina natrafimy już w Moskwie. Z Moskwy Władimir Iljicz wyjeżdżał czasem polować na Zabołotje. Jak sama nazwa wskazuje okolica obfitowała w ptactwo wodne, rzeka Dubna rozlewała się tu szeroko. Na wiosnę ciągnęły tędy gęsi, żurawie, kaczki różnych gatunków. W odległości około 2 km, wśród pagórków porośniętych mchem i borówkami tokowały cietrzewie. Gospodarzem łowiska był tam Iwan Wasiljewicz Zajcew ze wsi Kałuszyno. Jego pradziadowie dostarczali ptactwo wodne na stół samego Iwana Groźnego. Zajcew pokazywał po latach gościom miejsce w szopie, gdzie na sianie sypiał sam towarzysz Lenin. Na Zabołotje przyjeżdżał również polować Lew Trocki. Oto jak opisuje Lenina w swojej książce „*Moje życie*”: *Lenin był namiętym myśliwym, lecz rzadko polował. Na polowaniach gorączkował się zazwyczaj bardzo, aczkolwiek w wielkich sprawach był zawsze niezwykle opanowany. Podobnie jak wielcy stratedzy są przeważnie miernymi szachistami, ludzie obdarzeni genialną trafnością strzału politycznego są przeważnie miernymi myśliwymi. Przypominam sobie, jak Lenin wprost zrozpaczony w poczuciu nieszczęścia, którego nie da się naprawić, skarżył mi się, że podczas polowania z naganką na lisa spudłował z odległości dwudziestu pięciu kroków. Rozumiałem go dobrze i serce moje wzbierało współczuciem. Nie udało mi się nigdy polować z Leninem, chociaż umawialiśmy się nieraz w określonym miejscu i czasie. Na krótko przed jego obłożną chorobą umówiliśmy się, że spotkamy się nad rzeką Szoszą w Twerskiej Gubernii, ale samochód Lenina utknął na wiejskiej drodze - nie mogłem się go więc doczekać*”.

W 1922 bardzo pogorszył się stan zdrowia wodza rewolucji. 25 maja 1922 roku nastąpił pierwszy z serii wylewów. Po następnym Lenin doznał lewostronnego paraliżu i od nowa uczył się mówić i pisać. Na przełomie 1923 i 1924 roku na tyle doszedł do siebie, że świętował Nowy Rok i udał się na swe ostatnie w życiu polowanie. Zmarł 21 stycznia 1924 roku. Relacje świadków mówią, że nic nie wskazywało na zbliżający się kolejny udar. Spekulacji było wiele. Po jego śmierci nie przeprowadzono jednak badań toksykologicznych wskazujących na otrucie.

Opis polowania Władimira Iljicza Lenina znajdziemy również w książce Michaiła Zoszczenki (1895-1958) - „*Opowiadania o Leninie*”. Opowiadanie pt. „*Na polowaniu*” czytał Jan Kobuszewski w kanale TVP Historia, w cyklu programów „*Lenin na dobranoc*”. Lenin wspaniałomyślnie przepuścił pięknego lisa na polowaniu zbiorowym, czym wzbudził zdumienie wśród kolegów: „Im lis jest piękniejszy, tym jest więcej wart”. Opowiadania Michaiła Zoszczenki traktowane są w Polsce jako kpiny z Lenina, jednak zamysł autora zapewne taki nie był, tym bardziej, że pisał je w czasach stalinowskich.





V. N. Basow - „Lenin wśród chłopów”

Rosyjski malarz V.N. Basow namalował w 1953 roku obraz „Lenin wśród chłopów”. Widzimy na nim Uljanowa w wieku około 30 lat, wracającego z polowania w syberyjskiej wsi Szuszenskoje, podczas trzyletniego zesłania. Podczas rozmowy z miejscowymi chłopami towarzyszy mu myśliwy Sosipatycz.

Cerkiew w Szuszenskoje, gdzie Nadieżda Krupskaja i Władimir Iljicz Uljanow wzięli ślub w 1898 roku, została w latach 30-tych XX wieku wysadzona w powietrze. W czasach socjalizmu miejsce zsyłki wodza rewolucji odwiedzały liczne wycieczki. Zachowały się drewniane domy, w których mieszkał Lenin. Po 1990 roku miejscowi mieszkańcy stworzyli w Szuszenskoje skansen XIX wiekowej wsi syberyjskiej, a wycieczki turystyczne witają tradycyjną ludową muzyką rosyjską i miejscowymi specjałami kulinarnymi.

Bibliografia

1. Lew Trocki, „*Moje życie*”, Spółka wydawnicza „Biblion”, Warszawa, 1930 r.
2. Ferdynand Antoni Ossendowski, „*Lenin*”, Wydawnictwo Polskie R. Wegner, Poznań, 1930 r.
3. Michaił Zoszczenko, „*Opowiadania o Leninie*”, Nasza Księgarnia, Warszawa, 1970 r.





JELEŃ „MUSSOLINI”

Mało znane i opisane są dzieje lasów pszczyńskich w czasie II wojny światowej. W 1934 roku górnośląskie lasy księcia pszczyńskiego Jana Henryka XV Hochberga przeszły pod zarząd przymusowy państwa polskiego, a w 1937 uległy konfiskacie za długi podatkowe. Jednak wkrótce nadeszła data 1 września 1939 roku. Wojna przetoczyła się przez ziemię pszczyńską błyskawicznie, w ciągu 3 dni. Krótkie, ale ciężkie walki miały miejsce w rejonie Wyr i Gostyni.

Zwierzyna przetrwała ten czas prawie bez uszczerbku zarówno w Lasach Górnych jak i Dolnych. Niepowetowaną stratą było jednak spiętrzenie wody na rzece Gostynce przez wojsko polskie i zalanie łąk na tzw. Starej Pile jako zaporę przeciwczołgową. Łąki te od czasów książęcych były utrzymane w wysokiej kulturze i stanowiły podstawową bazę żerową dla pszczyńskich jeleni, żubrów i innej zwierzyny. Niemcy wciągnęli pszczyński ośrodek hodowlany w skład państwowych obwodów łowieckich III Rzeszy. Obejmowały one dawne cesarskie tereny łowieckie m.in. Puszcze Romincką (Rominten), Schorfheide i były pod bezpośrednim nadzorem samego Wielkiego Łowczego III Rzeszy Marszałka Hermana Göringa. Już 10 września 1939 roku przysłano do Pszczyny nowego zarządcę d/s leśnictwa i łowiectwa leśniczego Waltera Rocholla. Nowy zarządca pochodził ze starej niemieckiej rodziny o bogatych tradycjach - leśnicy od pokoleń. Do 1939 roku był leśniczym w Murowie (Bory Stobrawskie) w województwie opolskim. Niemcy podjęli energiczne działania. Przeprowadzono szczegółową inwentaryzację lasów i zwierzyny. Starsi mieszkańcy Kobióra opowiadają, że za skłusowanie czegokolwiek groziła wysyłka do obozu koncentracyjnego. Łąki na Starej Pile, zniszczone po zalaniu zrehabilitowano, część zaorano i założono poletka łowieckie. Wybudowano betonowe silosy na karmę, stoją do dziś.

Polska służba leśna wyższego szczebla zdążyła uciec przed okupantem, bo wielu było na niemieckiej czarnej liście jako byli powstańcy śląscy i działacze niepodległościowi. Pracownicy niższego szczebla - gajowi, robotnicy leśni, pozostali na swoich stanowiskach, bo znali teren, pamiętali w większości czasy książęce i byli w dużej mierze dwujęzyczni, do końca I wojny światowej szkolnictwo było tylko niemieckie. Na opuszczone stanowiska sprowadzono z głębi Niemiec emerytowanych leśniczych, w tym również książęcych. O odstrzale jeleni byków decydował sam Reichsjagdamt (Urząd Łowiecki Rzeszy) w Berlinie. Pozostałe odstrzały selekcyjne wykonywała służba leśna. Zarządca Rocholl znalazł w zamku Promnice tabele przedstawiające ilość i jakość jeleni byków pozyskanych w czasie rykowisk od 1890 do 1931 roku z krótkimi przerwami w czasie I wojny światowej i Powstań Śląskich.

Niemcy pozyskali w czasie rykowiska 1939 roku 17 jeleni byków a w 1940 roku 23 byki. Niestety za rządów polskich po 1934 roku, znacznie pogorszyła się nie tyle ilość jak jakość jeleni w porównaniu do czasów książęcych. Utrzymanie pszczyńskiej zagrody było bardzo



Jerzy Szoltys





Zamek myśliwski Promnice w lasach pszczyńskich, fot. Jerzy Szoltys

kosztowne i młode państwo polskie, by pozyskać środki sprzedawało w latach trzydziestych tzw. polowania dewizowe za Reichsmarki i dolary. Przyjeżdżali również polscy przedwojenni dygnitarze. Często padały jelenie byki do dziesięciu lat, co w czasach księżących było nie do pomyślenia. Byki strzelano za księcia w 13-14 roku życia. Spadła dbałość o łąki śródleśne i mniej rzetelnie wykonywano odstrzał selekcyjny.

Zarządca Rocholl sporządził analogiczną tabelę do tej znalezionej w zamku Promnice z rykowisk 1939 roku i 1940 roku. Wynikło z niej, że średnia waga tuszy jelenia byka pozyskanego w czasie rykowiska spadła aż o 100 funtów w porównaniu do czasów księżących. Jeżeli chodzi o jakość poroży, to przed 1934 rokiem waga poroża 8 kg nie należała do rzadkości. Jeszcze w 1928 roku pozyskano w Pszczynie byka o wadze trofeum powyżej 10 kg i innego o wadze 9,5 kg. Najcięższe trofeum z rykowisk w latach 1939-1940 miało 7,5 kg i nie pozyskano formy wyższej jak czternastak. Inwentaryzacja przeprowadzona 1 kwietnia 1941 roku po ponowie wykazała, że w zagrodzie pszczyńskiej o powierzchni 10600 ha przebywało 305 jeleni byków i 307 łań. Na tą ilość stwierdzono tylko dwa byki o formie poroża powyżej szesnastaka. Bykom tym niemiecka służba leśna nadała imiona: „Mussolini” i „Franko”. O okazach tych dowiedział się sam szef niemieckiego łowiectwa Herman Göring. Ten wielki miłośnik trofeów zapowiedział, że byki te mają na niego czekać, a na polowanie do Pszczyny przyjedzie przy okazji jakiejś służbowej wizyty na Górnym Śląsku. Zarząd lasów pszczyńskich przestraszył się trochę, bo jak to będzie brzmiało, gdy ktoś napisze, że Göring zastrzelił „Mussoliniego”. Szybko zmieniono więc imiona tych jeleni na „Jupiter” i „Saturn”. Do wizyty marszałka Rzeszy na Górnym Śląsku jednak nigdy nie doszło, a byk „Mussolini” („Jupiter”) został zrogowany w czasie





Jelenie pszczyńskie, reprodukcja przedwojennej pocztówki



Odnaleziony w RFN zrzut jelenia „Mussolini”

śniczy Rache. Na froncie Rocholl przebywał zaledwie tydzień i został ranny po wybuchu radzieckiego granatu. Nafaszerowany drobnymi odłamkami granatu, dosyć długo leżał w szpitalu wojskowym w Opolu. Po leczeniu nie wrócił na front, lecz został skierowany na swoje poprzednie stanowisko sprzed 1939 roku do leśnictwa Murów, gdzie pracował do połowy stycznia 1945 roku. W kolumnie uchodźców niemieckich uciekających przed Armią Czerwoną, w połowie lutego 1945 roku, pieszo z plecakiem dotarł do Hesji, gdzie miał siostrę i szwagra, również leśnika. Krótco pełnił tam funkcję leśniczego w miejsce rannego na froncie szwagra, aż odwołali go ze stanowiska Amerykanie wyzwalamy te strony. Pod koniec życia, około 1961 roku napisał książkę pt. „Im Küsselwind”, w której opisał swoje przygody łowieckie i przeżycia wojenne. Jeden obszerny rozdział poświęcony jest pobytowi w Pszczynie od 10 września 1939 roku do lipca 1941 roku. Wspomina między innymi niezapomniane pszczyńskie rykowiska na Starej Pile, gdy z porannej mgły wyłoniły się cztery żubry maszerujące majestatycznie między dwoma chmarami jeleni. Píše też o starym gajowym Pudełko z Kobióra, który bezbłędnie odróżniał swoje jelenie „po twarzy”, gdy te zrzuciły poroże. Opisuje polowania z łodzi na kaczki na Jeziorze Paprocańskim, która na dziobie miała dwa

rykowiska 1944 roku, przez młodszego czternastaka. Trofeum „Mussoliniego” ważyło 11 kg, ale co się z nim później stało nie wiadomo.

Zarządca Walter Rocholl przebywał w Pszczynie do lipca 1941 roku i został powołany do wojska na front wschodni. Zmienił go nadleśniczy





Obraz „Kampfruf”, Gerhard Löbenberg - reprodukcja z książki „Weidwerk der Welt”, 1934 r.

ścieżki podchodowe. Walter Rocholl napisał, że kazał wybudować ambony, bo w warunkach wojennych nie miał tylu ludzi do utrzymania tego w należyтым stanie, a poza tym myśliwym, często wysokim oficerom niemieckim śpieszyło się zawsze. Polowanie z ambon było o wiele łatwiejsze.

Bibliografia

- Książka *Im Küsselwind*, autor Walter Rocholl, wydawca Paul Parey, 1963 rok
- Czasopismo *Wild und Hund* z 1959 roku, artykuł „Pless”, autor Walter Rocholl

krzeselka obrotowe dla myśliwych, a z tyłu siedział wioślarz.

Niektórzy niemieccy leśnicy z Górnego i Dolnego Śląska po wojnie pisali czasem artykuły do RFN-owskich gazet łowieckich i przyjaźnili się ze sobą. Tym sposobem odnalazł się w RFN jeden zrzut jelenia „Mussoliniego” z 1943 roku. Walter Rocholl przeprowadził latem 1958 roku jego wycenę według międzynarodowych norm. Tyka miała długość 120 cm, obwód dół/góra 18/17, odnogi 12, waga 4,8 kg. Przy założeniu, że druga tyka była podobna, dawało to 230-235 pkt, czyli mocny złoty medal. Trzeba pamiętać, że do chwili zrogowania w 1944 roku „Mussolini” nałożył jeszcze dwa poroża.

W lasach pszczyńskich nie były rozpowszechnione do II wojny światowej ambony do polowań. Za księcia polowano z podchodu i tzw „Schirmów” - naziemnych zamaskowanych stanowisk na brzegach łąk, zrębów do których prowadziły





Z DZIEJÓW SYGNAŁÓW MYŚLIWSKICH - SZKIC HISTORYCZNY

Pierwotni łowcy do porozumiewania się podczas polowania wykorzystywali kościane piszczałki. Ich wadą było ciche brzmienie. Dopiero około V wieku myśliwi północnej Europy zaczęli używać rogu zwierzęcego. Wydobywane z nich dźwięki charakteryzowały się znacznie donioślejszym brzmieniem, co w znacznym stopniu ułatwiało komunikację podczas łowów. Umownymi sygnałami informowano o otropieniu lub ubiciu zwierzyny, za pomocą rogu wzywano pomocy. W końcu XII wieku pojawiają się drewniane rzeźby ze św. Hubertem trzymającym róg bawoli w jednej ręce i pastorał w drugiej. Róg stał się jednym z atrybutów dawnego łowcy. Zanim pojawił się pierwszy graficzny zapis sygnałów myśliwskich minęły blisko dwa wieki. W 1394 roku wydany został traktat „*Trésor de la Vénerie*” (Skarbnica myślistwa) autorstwa rycerza i myśliwego Hardouina de Fontaines (?-1399). Dzieło miało charakter dydaktyczny, było czymś w rodzaju szkoły gry sygnałów przedstawionych za pomocą 17. rycin. Znalazł się tam m.in. zapis zewu **Rozpoczęcie polowania** (Cornure de Chasse), **Ubicie jelenia** (Cornure de Prise), **Karmienie psów** (Curée) czy **Powrót** (Cornure de Retraite). Rogi przedstawione na rysunkach przypominają rogi zwierzęce, na których można było wydobyć tylko jeden brzącający dźwięk. Stąd każdy sygnał składał się z zestawienia dłuższych i krótszych dźwięków, tworząc uporządkowany rytm. Jego zapis graficzny zamieszczono w górnej części ryciny.



Krzysztof Marcelli
Kadlec



Hardouin: *Trésor de la Vénerie*; *Rozpoczęcie polowania* (Cornure de Chasse)

Dźwięki dłuższe oznaczano prostokątami zaczerzniętymi – odpowiadają one dzisiejszym ćwierćnutom, a dźwięki krótsze zapisywano prostokątami bez zaczerznienia – współczesny odpowiednik ósemek. Przerwy występujące między poszczególnymi grupami znaków wskazywały miejsce na oddech. „*Skarbnica myślistwa*” Hardouina jest pierwszym zapisem graficznym sygnałów łowieckich.

Na przełomie XV/XVI wieku następuje postęp w technologicznej obróbce metali. Umiejętność wydłużania oraz zaginania rurek sprawia, że formowanie instrumentu





Jacques de Fouilloux: *La vénerie*; myśliwy z jednozwojowym metalowym rogiem



Jean-Baptiste Oudry: *Markiz Marc-Antoin de Dampierre z trompe de Dampierre*; portret z 1730 roku

w coraz bardziej ścieśnione zwoje staje się możliwe. Wiąże się to również z poszerzeniem naturalnej skali instrumentu, a przede wszystkim z donośnością brzmienia. Francuski szlachcic Jacques de Fouilloux (1518-1580), na stronach swojego słynnego traktatu o myślistwie „*La Vénerie*” (Sztuka polowania z psami) wydane w 1561 roku, zamieścił ryciny z postaciami grającymi na metalowym rogu o jednym zwoju, na których można już było wydobyć dźwięki różnej wysokości, co przyczyniło się do powstawania tzw. fanfar. Autor stwierdził, że: *Kiedy zjawiają się fanfary, zamiera myśliwskie trąbienie.*

Zacząły powstawać fanfary informujące dźwiękami rogu różne zaistniałe w łowisku sytuacje, np. *Zwierzyna przechodzi wodę* czy *Zwierzyna wyszła z lasu*. Ale istniały też takie, którymi zwoływano psy do karmienia, określano rodzaj zwierzyny, co więcej, ich wiek. Odpowiednią melodią informowano myśliwych, w którym porożu był widziany jeleni-
-byk a nawet myłkus. Twórcą wie-

lu fanfar był markiz Marc-Antoine de Dampierre (1676-1756) – królewski muzyk, wirtuoz gry na rogu a zarazem wielki łowczy króla Ludwika XV. Około 1700 roku we Francji sztuka budownictwa rogów myśliwskich osiągnęła szczególnie wysoki poziom, do czego w znacznym stopniu przyczynił się markiz. Poszerzenie skali do kilkunastu dźwięków w znaczący sposób wpłynęło na melodyjność sygnałów charakterystycznych dla dampierowskich fanfar. I tak podczas polowań par force radosnym sygnałem *Hallali „na nogach”* dawano znak o osaczeniu zwierza, a po skłuciu jego piką ogłaszano *Hallali „na ziemi”*. Zakończenie łowów wyznaczała fanfara *Powrót z polowania* lub *Powrót na zamek*.

Kiedy zachodnioeuropejscy myśliwi podczas polowania grali już na rogach metalowych, w Rzeczypospolitej używano nadal zwierzęcego, rzadziej drewnianego rogu. W 1543 roku w polskiej literaturze pojawia się krótka wzmianka o trąbieniu w „*Krótkiej rozprawie między trzema osobami, Panem, Wójtem i Plebanem*” Mikołaja Reja (1505-1569):





*Trąb co rychlej, a psy zwieraj,
Zwołaj czeladź konie siodłaj...*



Jan hrabia Ostroróg „Brodaty” z synem Mikolajem zwanym „Laciną”; portret olejny

Staropolscy nemrodzi stosowali sygnały przy różnych okazjach: przy zwoływaniu psów, przy otrąbianiu upolowanej zwierzyny. Po raz pierwszy szerzej na temat sygnałów, ich brzmieniu oraz zastosowaniu napisał Jan hrabia Ostroróg „Brodaty” (1561-1622), w jednym z najcenniejszych zabytków staropolskiej literatury łowieckiej, wydanym w krakowskiej oficynie w 1618 roku, zatytułowanej „*Myślistwo z ogary*”.

Hrabia należał do zagorzałych myśliwych uprawiających racjonalne łowiectwo. Zdobyte przez lata doświadczenie i wiedzę o polowaniach z ogarami skrupulatnie notował. W opisowy sposób zostały przedstawione sygnały łowieckie, ich brzmienie i metody użytkowania. Opisał, jak za pomocą dźwięków wydobywanych z bawolich rogów porozumiewano się z psami, jak otrąbiano upolowaną zwierzynę, a także jakim zewem posługiwano się, by utrzymać wzorowy ład i porządek w czasie łowów. Na wstępie Ostroróg zalecił kolegom po strzelbie: *Jeśli na czym w myślistwie należy, jako na trąbieniu; [...] Trąbienie tedy do każdego zamysłu i potrzeby myśliwczey ma być inakwsze*. Pierwszy z opisanych sygnałów dotyczył **Strębowania psów**, który służył do przywoływania do karmienia oraz sforowania, czyli wiązania w pary. Autor zalecał: *trzeba trąbić z przewłoką, to jest tonem jednym co najdłużej odymając, a rzadko oktawę wynosząc i mało przebierając*. A na dźwiękową komendę **Zakładanie** psy przepędzały określoną powierzchnię pola lub kniei, naprowadzając znajdujące się tam zwierzęta na linię myśliwych. Ostroróg radził szczwaczom – służbie łowieckiej zajmującej się psiarnią, która podczas polowania konno dozorowała pracę psów,



Myśliwy z bawolim rogiem; akwarela

zachęcając je do gonienia: *tedy trzeba trąbić z przewłoką, to jest tonem jednym co najdłużej odymając, a rzadko oktawę wynosząc i mało przebierając*. Kiedy psy się rozbiegły przywoływano je, trąbiąc wesoło: *z przebieraniem oktawy*. Sygnał nazywano **Potrębowaniem szczwaczy**. Autor „*Myślistwa z ogary*” jeden z zewów opisał wyjątkowo nieprecyzyjnie: *jest też trąbienie na upatrzone, które pospolite jest, wszyscy wiedzą jakie jest, niemasz o czym pisać*. Sygnałem **Na charty** przywoływano psy, które zgubiły trop i nie wracały, i: *ma je sobie każdy szczwacz wymyślić jakie chce, byle krótkie*. W podob-





ny sposób przedstawia pozostałe sygnały, a więc **Na upatrzonego, Na przepadnionego lub wykradzionego zająca** i **Odprawowanie**. Tym ostatnim zewem przywoływano zziąbane psy ciąglým zakładaniem (przepędzaniem zwierzyny w kniei lub na polu), by w nagrodę dać wnętrzości ubitego zwierza lub skoki uszczutego zająca, wtedy szczwacz trąbił: *powłokiem, co najdłuższym tonem*. Jan hrabia Ostroróg „Brodaty” uważał, że: *trąby najprzedniejsze są z wołowych rogów, drugie bardziej dla ozdoby i ceremonii noszą*.

Jakuba Kazimierza Haura (1632-1709) w swoim czasie uważano za najpopularniejsze-



Karta tytułowa książki Jakuba K. Hauera

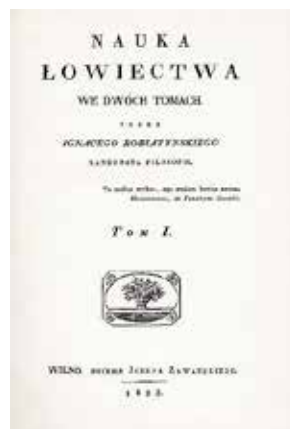
go pisarza rolniczego i leśnego. W roku 1689 opublikował zbiór traktatów będących rodzajem encyklopedii - „*Skład albo skarbiec znakomitych sekretów ekonomiej ziemiańskiej*”. W jednym z rozdziałów - „*Opisanie zwyczajnych terminów przy łowach*” znalazła się krótka wzmianka dotycząca trzech sygnałów, zwanych hasłami: **Hasło na lisę** - *tylko raz zatrąbić*, **Hasło na zająca** - *dwa razy*, **Hasło na wilka** - *trzy razy grubszym już głosem*.

W dziewiętnastowiecznej polskiej literaturze łowieckiej, za sprawą Ignacego Bobiatyńskiego (1795-1859), ponownie poja-

wiają się opisy sygnałów granych na bawolich rogach. Autor pochodził ze Wschodnich Kresów i chociaż własnych dóbr ziemskich nie posiadał, często zapraszano go na polowania. Znał wielu myśliwych,

poznał las, zwyczaje czworonożnych i skrzydlatych jego mieszkańców. Bogate i cenne doświadczenia opisał w dwutomowym dziele „*Nauka łowiectwa*” wydany w Wilnie.

W tomie pierwszym opublikowanym w 1823 roku (tom drugi ukazał się dwa lata później) zostało opisanych i omówionych osiem sygnałów używanych przez ówczesnych nemrodów. Sygnałem **W domu** dojeżdżacze, czyli służba mająca pieczę nad psiarnią, zwoływała psy do karmienia i do zagrody. **Hasłem** informowano myśliwych, aby pośpiesznie zajmowali wyznaczone stanowiska, bo za moment będą puszczane psy. Zewem **Na psy się odzywając** zachęcano psy do ugania się za tropioną zwierzyną. Upolowanie grubego zwierza oznajmiano trzema równo zagrany mi niskimi dźwiękami. Sygnał nosi nazwę **Na grubego zwierza**. Bobiatyński w interesujący sposób przedstawia hasło **Na drapieźnego zwierza**. Nie tylko opisuje strukturę melodyczno-rytmiczną, ale także zwraca uwagę na techniczną stronę, ważną przy jego wykonywaniu. By ukazać pełne ekspresji brzmienie, autor powiada: *Dając znać o drapieźnym zwierzu, włożyć dwa lub trzy palce do otworu szerszego trąby, trzy razy drżącym i grubszym głosem zatrąbić, a w końcu wynieść na ton najwyższy*. Natomiast **Na lisa** nakazywał: *trąbić tonem cienkim z przecięciem krótkim*. Pod pojęciem **Pojezdnego** kryją się dwa różnie brzmiące sygnały dotyczące zupełnie odmiennych łowieckich sytuacji. Pierwszy z nich informował myśliwych o ubiciu jakiejś zwierzyny; wtedy należało trąbić na tej samej wyso-



Ignacy Bobiatyński: Nauki Łowiectwa; strona tytułowa tomu I





kości dłuższym i krótszym dźwiękiem, powtarzając ten motyw 3 razy. Kiedy ów motyw **Pojezdnego** zakończono długim dźwiękiem, nabierał on innego znaczenia – tak powiadamiano myśliwych o przejściu z kniei do kniei lub powrocie do domu, w ten sposób też trąbiono, kiedy zauważono brak myśliwego. Trzykrotne powtórzenie długiego dźwięku nazywano **Zwoływaniem**. W zależności od sytuacji, tym hasłem przywoływano psy do karmienia albo do sforowania. Identycznym trąbieniem ogłaszano ubicie zająca.

Opisy staropolskich sygnałów znaleźć też można w słowniku Wiktora Kazimierza Kozłowskiego (1791-1858) „*Pierwsze początki terminologii łowieckiej*”, wydanym w 1822 roku.



Wiktor Kazimierz Kozłowski; grafika

Pod hasłem „TRĄBIENIE” zamieszczone zostały opisy 20. sygnałów myśliwskich, w tym Ostroroga i kilka nieznanych zewów używanych przez dziewiętnastowiecznych polskich nemrodów, takich jak: **Apel albo przybywaj, W domu, Do sfór, Ze sfór psy spuszczać, Psom się odzywając, Do odprawy, Hasło, Na grubego zwierza, Na drapieżnego zwierza, Pojezdny, Strębowanie, Retirada i Na upatrzonogo**. Mają one charakter wariantywny do wcześniej przytoczonych haseł. Przyglądając się zapisom nutowym powstałym ze słownych opisów sygnałów dostrzec można, jaki unikalny język dźwiękowy stworzyli staropolscy myśliwi do porozumiewania się między sobą. Jakże rozwinięta musiała być wrażliwość ówczesnych nemrodów,

skoro umieli wychwycić rytmikę poszczególnych zewów oraz odcienie brzmienia różnych przecięz trąb. Język muzyczny rozumiano z taką samą dokładnością jak łowiecką mowę.

W wieku XIX rogi par force, szczególnie na terenie Niemiec, powoli przestają być używane. Z wolna zanikają polowania konne, nastaje czas polowań pędzonych oraz z podchodu. Parfors ze względu na swoją wielkość staje się instrumentem mało przydatnym, kiedy trzeba przedzierać się przez zagajniki, mokradła czy zarośla. Na ziemiach polskich, podczas polowań zbiorowych, róg bawoli też coraz rzadziej był używany. Stopniowo zastępowano go małym metalowym rogiem myśliwskim. Jego naturalna skala składa się z sześciu dźwięków (c^1 , g^1 , c^2 , e^2 , g^2 , a^2). Ten poręczny, znacznie mniejszy, dobrze brzmiący instrument powstał we wrocławskiej pracowni instrumentów blaszanych Franza Hirschberga około 1870 roku, na zlecenie Wielkiego Łowczego Cesarstwa, gospodarza pszczyńskich dóbr, księcia Jana Henryka XI Hochberga (1833-1907) i przez niego rozpowszechniony w wielu krajach Europy, jako książęcy róg pszczyński (Das Fürst-Pless Horn).



Róg pszczyński z warsztatu Franza Hirschberga; Wrocław, ok. 1870 rok

W oparciu o możliwości wykonawcze tego instrumentu zaczęły powstawać sygnały łowieckie. Pierwsza wzmianka na ten temat ukazała się w 1870 roku, w niemieckiej ilustrowanej gazecie łowieckiej „*Der Waidmann*”. Raoul Dombrowski (1833-1896) wydaje w 1878 roku w Wiedniu książkę „*Das Edelwild*”, z zamieszczonymi kilkunastoma sygnałami m.in.:





Raoul Dombrowski



Książę pszczyński Jan Henryk XI Hochberg; *Gazeta Ilustrowana*, Lipsk 1870 rok

„Powitanie”, „Pobudka”, „Apel na łowy”, „Zbiórka strzelców” czy „Koniec polowania”.

Porównując je z obecnie obowiązującymi zapisami nutowymi, w notacji Dombrowskiego zauważyć można mało istotne drobne zmiany, nie mające większego znaczenia. Autor pochodzący ze stąpolskiej szlacheckiej rodziny należał do grona austriackich naukowców zajmujących się leśnictwem i łowiectwem.

Zarówno książę Jan Henryk XI jak i Józef Rosner – właściciel księgarni w Pszczynie, byli miłośnikami muzyki ze skłonnościami do komponowania. W oparciu o zapisy nutowe sygnałów Raoula Dombrowskiego, Oskara Riesenthala (1830-1898) – niemieckiego

ornitologa, leśnika i myśliwego oraz swoich pomysłów muzycznych, powstał zbiór ponad 40 sygnałów myśliwskich oraz marszy na róg pszczyński (ples) „*Jagd-Signale und Fanfaren*”, wydany w 1878 roku. Znalazła się tam kompozycja księcia – *Śmierć tura*, współcześnie określana jako *Żubr na rozkładzie*. Sygnały pokotu zostały opracowane przez Józefa Rosnera na dwa rogi, a fanfara *Powitanie* zyskała formę czterogłosową. Publikacja na przestrzeni lat 1878–1910 doczekała się ponad 24. wydań i była z czasem uzupełniana. Książę Jan Henryk XI Hochberg rozpowszechnił pszczyńskie sygnały w wielu krajach Europy, które do dzisiaj są używane na polowaniach zbiorowych również w Polsce. Tradycją na

zamku pszczyńskim było, że w dniu urodzin „*Starego Księcia*”, jak mówiono o Janie Henryku XI, a więc 10 września każdego roku, organizowano dla służby leśnej zawody w strzelaniu i grze na plesie. Dla zwycięzców czekały cenne nagrody ufundowane przez księcia. Tradycja ta przetrwała nawet po jego śmierci.

W „*Kalendarzu myśliwskim na 1932 rok*”, wydanym przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie, po raz pierwszy ukazały się nuty zebrane przez inż. Karola Czampe, zamieszczone w rozdziale „*Pobudki i sygnały myśliwskie*”. Większość z nich jest identyczna z dzisiaj używanymi. Ale są też takie, które występują w nieco zmienionej wersji poprzez skrócenie lub poszerzenie melodii. Część zewów przytacza Czampe za Raulem Dombrowskim m.in: *Pobudka do rozpoczęcia polowania* (Vorgehen der Treiber), *Drugie zawołanie myśliwych* (Heger Ruf), *Odpowiedź* – na *Drugie zawołanie myśliwych* (Antwort). Wykorzystał także sygnały Bernharda Pompeckiego (1850–1912) zamieszczone w niemieckiej szkole na waltornię (Jagd- und Waldhornschnule 1926), w tym *Pobudka poranna „wstawaj”* (Weccken). Zapisy nutowe sygnałów myśliwskich pojawiały się także w „*Kalendarzu Myśliwskim*” w roku 1933, 1934, 1937 i 1938. Były to powtórzenia tego samego materiału.

Wraz z powstaniem Czechosłowacji w 1918 roku, zaczyna się odradzać w tym kraju również sygnalistka. W 1923 roku powstaje stowarzyszenie skupiające czeskich i słowackich myśliwych. Ples zwany borlicą staje się coraz bardziej popularnym instrumentem wśród myśliwych. W 1934 roku nadleśniczy Ludwik Doleżał (1886-1938), w oparciu o zapisy sygnałów





Profesor Antonin Dyk



Antonin Dyk: *Dykovy lovecké signály*, 1936; karta tytułowa

myśliwskich niemieckiego leśnika i myśliwego Waltera Freverta¹, wydaje zeszyt z nutami „*Trábieňie łowieckich fanfar i komend*”. Celem publikacji było – po wielu latach podupadania tej niegdyś pięknej i bogatej tradycji – przywrócenie myśliwskiego trąbienia na polowaniach w czeskich i słowackich lasach. Niezwykle ważną rolę na łowieckiej niwie odegrał prof. Antonin Dyk (1871-1952).

Krótko po powstaniu w 1919 roku Uniwersytetu Rolniczego w Brnie został dziekanem Wydziału Leśnego, poświęcając się ochronie lasu i łowiectwu, a w latach trzydziestych piastował urząd rektora uczelni. Był także poetą i kompozytorem, twórcą czeskich sygnałów łowieckich przeznaczonych na róg myśliwski (borlicę) w stroju B. W 1936 roku ukazał się zbiór zatytułowany „*Dykovy lovecké signály*”. Od tej pory czescy myśliwi zaczęli używać swoich sygnałów, całkowicie odmiennych od tych granych na polowaniach w pozostałych krajach Europy. Obowiązują one w Czechach do chwili obecnej. Prof. Dyk założył przy Wydziale Leśnym zespół sygnalistów myśliwskich składający się ze studentów, który prowadził i sam w nim grał na plesie (borlicy).

Tymczasem w Polsce redakcja „*Echa Leśnego*”, w listopadowym numerze z 1936 roku, zwróciła się do czytelników o nadsyłanie propozycji nowych polskich sygnałów myśliwskich. Wpłynęły dobrze opracowane nuty 24. sygnałów na róg myśliwski gajowego z Żelizna, Rocha Krykwińskiego (1898-?). Oprócz okolicznościowych hasel i kilku marszy znalazło się także 8 sygnałów organizacyjnych (*Pobudka*, *Zbiórka naganki*, *Zbiórka strzelców* itp.) i tylko 2 sygnały pokoutu tj. *Otrąbienie dzika* i *Otrąbienie lisa*. Zabrakło propozycji uhonorowania dźwiękami rogu pozostałych łownych zwierząt. Krykwiński zaproponował jeszcze 10 sygnałów określanych przez autora jako administracyjno-ochronne. Redaktor Walerian Dakowski, w artykule zamieszczonym w „*Echach Leśnych*” (nr 5, 1937), wyraził przekonanie: *że sygnały podane przez p. Krykwińskiego są łatwe i krótkie, co ułatwiłoby ich wykonywanie i odróżnienie przez wszystkich uczestników polowania. Sygnały przyjęte przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich są zbyt liczne (28 sygnałów myśliwskich), a przy tym są dość długie i skomplikowane, co nie może się przyczynić do jasności sytuacji w kniei. Ogłoszone są one w kalendarzach Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich (rok 1933). Najważniejszą jednak wadą sygnałów PZSŁ jest to, że właściwie nie są one ustalone, lecz są przedrukami sygnałów używanych przez Niemieckie Stowarzyszenia Łowieckie. [...] Wstydzić się powinniśmy naśladownictwa, mając własne wzory naszej przeszłości i terażniejszości łowieckiej.*

Z całego materiału nadesłanego przez gajowego Krykwińskiego do „*Echa Leśnego*” za-

¹ Walter Frevert (1897-1962) - ceniony leśnik, wybitnym znawca poroży jeleni, ulubieniec Goeringa. Mocno wpisał się w świadomość Polaków jako zajadły nazista i hitlerowski zbrodniarz. Po wojnie mieszkał i pracował w Niemieckiej Republice Federalnej. Dzięki prawnym manipulacjom uniknął zasłużonej kary.





chowało się 10 sygnałów administracyjno-ochronnymi na róg myśliwski w stroju B, które zostały opublikowane w piśmie ze zgrabnymi, lapidarnymi komentarzami autora artykułu Waleriana Dakowskiego. I tak przy sygnale **Odezwił się** dopisał: **jest zdecydowanym za pytaniem**, przy **Jestem: jest spokojną odpowiedzią**, przy **Biegnę**: przyspieszony bieg (tylko cokolwiek nierówny), a dwoma słowami określił **Przybywaj**: energiczne wezwanie i **Pospieszaj**: przynaglenie pilne. Sygnał **Idę** zdefiniował jako: potwierdzenie równego kroku. Tylko sygnał **Wróć** wydaje się, że oddany jest w zbyt szybkim tempie. Hasłu **Kłusownik** składającej się z jednej długiej nuty Dakowski wystawił wyjątkową ocenę pisząc: przez swoje górne „G” w pełnej nucie – jest wyborny. Dwa ostatnie sygnały, czyli **Zrozumiałem** i **Odstrzał** nie otrzymały żadnego komentarza.

W listopadowym numerze miesięcznika dla straży leśnej „Niwa Leśne” z 1937 roku, ukazał się artykuł Lucjana Idźkiewicza „Sygnały”. Zamieścił w nim sygnały z „Kalendarza Myśliwskiego na 1932 rok”, z dokonаныmi drobnymi zmianami, oraz 8 sygnałów zupełnie nowych, skomponowanych przez autora artykułu, który na wstępie napisał: *Trudno jest wyobrazić sobie zbiorowe polowanie bez tradycyjnego bigosu i dźwięków trąbki myśliwskiej. Sposób przyrządzania bigosu, ba nawet jego „smak i woń cudną”, tak dokładnie opisał w „Panu Tadeuszu” nasz wielki poeta Adam Mickiewicz, że każdy z nas potrafi sporządzić nie gorszy od opisanego. Skąpiej potraktował nasz wieszcz „trąbek granie”. [...] Może ta przewaga bigosu nad trąbką doprowadziła do prawdziwego „bigosu” w dziedzinie naszej ubogiej literatury muzyczno-łowieckiej, ściślej mówiąc w sygnałach łowieckich. Zanim znajdzie się godny tej sprawy reformator, który uporządkuje i uzupełni braki, z jakimi niewątpliwie spotyka się każdy myśliwy, pragnę dorzucić do ogólnego kotła kilka nowych potrzebnych sygnałów z tym życzeniem, aby stały się „polska sperka” i dodały więcej smaku temu muzycznemu „bigosowi”.*

Poszczególne zapisy nutowe Lucjana Idźkiewicza nosiły nazwy: **Linia myśliwych gotowa**, **Naganka gotowa**, **Ruszenie naganki**, **Naganka wolniej**, **Naganka prędej**, **Ogłoszenie wyników polowania**, **Hejnał na cześć „Króla polowania”** i **Koniec polowania**.

Z niezwykle interesującą inicjatywą wyszedł nasz wybitny kompozytor Feliks Nowowiejski (1877-1946). W czasie kilkudniowego wypoczynkowego pobytu w Puszczy Białowieskiej w 1937 roku, skomponował hejnał „Wyjazd na polowanie”. W wywiadzie udzielonym w „Echach Leśnych” wyartykułował swój zamiar: *chcę mianowicie wyrugować obce hejnały myśliwskie – niemieckie, szwajcarskie i francuskie, którymi dotychczas posługiwała się Białowieża. Skomponowałem już „Hejnał Myśliwski Prezydenta RP”, dedykowany p. Naczelnemu Dyrektorowi Adamowi Loretowi, oraz hejnał II „Wyjazd na polowanie”. Na wiosnę dokomponuję jeszcze kilka sygnałów, między innymi „Hejnał na śmierć rysia”. W miarę jak będą powstawały, chętnie zapoznam z nimi czytelników „Ech Leśnych”. Hitlerowska okupacja, choroba i śmierć w 1946 roku sprawiły, że kompozytorowi nie udało się spełnić obietnicy, ale pozostawił po sobie jednogłosowy sygnał **Wyjazd na polowanie**.*

Po drugiej wojnie światowej nuty sygnałów myśliwskich, co pewien czas, ukazywały się w kalendarzach myśliwskich, w prasie łowieckiej i innych publikacjach. W zależności od źródła pochodzenia często ich zapisy różniły się w muzycznych detalach. Wraz z powstaniem Klubu Sygnalistów Myśliwskich PZŁ w 1995 roku, rozpoczęto kilkuletnią pracę nad ujednoczeniem zapisu sygnałów. Powstał zbiór nut sygnałów myśliwskich jednogłosowych





Hejnał: Wyjazd na polowanie
(na małe myśliwskie korbki)

Allegretto

dla Tygodnika 'Kłosy', Echa Łódzkie'

Feliks Nowowiejski

Pratowice, wiosna 1932

Feliks Nowowiejski: Hejnał – Wyjazd na polowanie; autograf

i wielogłosowych na zespół rogów myśliwskich w stroju B, ostatecznie zatwierdzony przez Komisję Muzyczną Klubu Sygnalistów Myśliwskich PZŁ (11 marca 2001 r.) oraz przez Komisję Kultury Łowieckiej NRŁ (14 marca 2001 r.). Naczelna Rada Łowiecka Uchwałą nr 14 z dnia 10 kwietnia 2001 roku ostatecznie potwierdziła obowiązujący zapis nutowy, jakim powinni posługiwać się polscy myśliwi. W tym samym roku ukazał się zbiór „*Sygnaly myśliwskie*” pod redakcją Macieja Strawy, wydany przez PZŁ. Znalazły się tam sygnały pszczyńskie używane przez trębaczy myśliwskich w obszarze niemieckojęzycznym, a także sygnały mające nasze rodzime pochodzenie jak: **Darz Bór**, **Król polowania**, **Wilk lub ryś na rozkładzie** oraz skomponowany w 1987 roku **Jenot na rozkładzie**, autorstwa Piotra Grzywacza (1958-2016).

W latach dwutysięcznych zostało skomponowanych kilka nowych polskich sygnałów myśliwskich, zatwierdzonych przez Komisję Muzyczną Klubu Sygnalistów Myśliwskich PZŁ. I tak w 2007 roku powstała **Słonka na rozkładzie** Krzysztofa Kadleca (1951r.), w 2010 roku **Bóbr na rozkładzie** Piotra Grzywacza, w 2014 roku **Piżmak na rozkładzie** a 2016 roku **Kuna na rozkładzie** – oba autorstwa Magdaleny Czerwonki (1984 r.). Listę na obecną chwilę zamykają dwa łowieckie zewy **Kuropatwa na rozkładzie** z 2016 roku Karola Kroskowskiego (1990 r.) i **Jarząbek na rozkładzie** z 2017 roku Magdaleny Czerwonki².

Unikalny język muzyczny wypracowany przez wiekami we Francji i nieco później w dawnej Rzeczypospolitej, jest dzisiaj wielkim bogactwem naszej narodowej kultury łowieckiej. Z tej pięknej tradycji i z tych prostych dźwięków narodziła się współczesna sygnalistyka myśliwska nadająca polowaniu rangę łowów. Jak to pięknie ujął jeden z wielkich twórców kultury łowieckiej Marek Piotr Krzemień: *Pamiętajmy, że polowanie bez myśliwskiego rogu to tylko polowanie, a z rogiem to łowy.*

² Na stronie internetowej: www.muzyka.myśliwska.pl, na podstronie Nuty, w dziale Sygnaly jest możliwość odsłuchania i wydrukowania wymienionych sygnałów.





Słonka na rozkładzie



Krzysztof Kadlec
(2007)

$\text{♩} = 76$

Pless 1

Pless 2

Par force I

Par force II

1

2

P I

P II

Krzysztof Kadlec: *Słonka na rozkładzie*

Bóbr na rozkładzie

Piotr Grzywacz
(Tuchola 2010)

$\text{♩} = 76$

Pless 1

Pless 2

Par force I

Par force II

5

1

2

P I

P II

Piotr Grzywacz: *Bóbr na rozkładzie*





Pizmak na rozkładzie

Magdalena Czerwonka
(2014)

$\text{♩} = 65$

Pless 1
Pless 2
Pless 3
Par force I
Par force II

Magdalena Czerwonka: Pizmak na rozkładzie

Kuropatwa na rozkładzie

na rogi mieszane

Karol Kroskowski 2016

$\text{♩} = 135$

Pless 1
Pless 2
Par Force I
Par Force II

7

1
2
P I
P II

14

1
2
P I
P II

$\text{♩} = 80$

Ryc. 18. Karol Kroskowski: Kuropatwa na rozkładzie





Jarząbek na rozkładzie

♩ = 90 Magdalena Czerwonka
(2017)

Pless 1

Pless 2

Par force I

Par force II

1

2

PI

PII

Magdalena Czerwonka: Jarząbek na rozkładzie

Bibliografia

- Bartels Uwo, 2003, *Tradycja rogu myśliwskiego księcia von Pless, początki i terażniejszość*, niepublikowany referat, Promnice
- Bezděk František, 2001, *Cesty a osudy loveckého rohu*, Edici Svět Myslivosti
- Bielawski Tomasz, 1980, *Myśliwiec*, Olsztyn
- D.[Dakowski] W. [Walerian], 1937, *Sygnaly*, Echa Leśne
- Dynak Władysław, 1994, *Poezja i łowy. Antologia*, Wrocław
- Fouilloux Jacques, 1561, *La vénerie*, Poitiers
- Idźkiewicz Lucjan, 1937, *Sygnaly*, Niwa Leśne
- Kadlec Krzysztof, 2015, *Las i myślistwo w muzyce polskiej*, Gołuchów
- Krzemień P. Marek, 1990, *Tradycje i zwyczaje łowieckie*, Warszawa
- Mąka Henryk, 2011, *Historia muzyki konnych polowań par force*, [w:] II Międzynarodowy Kongres Kultury Łowieckiej, Materiały kongresowe pod red. M. P. Krzemienia, Niepołomice
- Ostroróg Jan, 1902, *Myślistwo z ogary*, Warszawa
- Pawłowski Józef, 1972, *Róg od A do Z*, PWM
- Podlipniak Piotr, 2006, *Związki muzyki z fonosferą lasu*, [w:] *Las w kulturze polskiej IV*, pod red. W. Łysiaka, Poznań
- Rusin Edward, 2004, *Integracyjny charakter kultu świętego Huberta*, Rzeszów
- Stübner Rudolf, 2017, *Herkunft und Entwicklung der deutschen Jagdsignale*
- Szołtyś Jerzy, 2/2012 *Srebrna plecówka*, [w:] *Gwarectwo Myśliwych*, Katowice
- *Wielkopolski Słownik Biograficzny*, 1983, Warszawa-Poznań





FOTOSTRZAŁ „W PUNKT” CZY FOTOPALBA „PANU BOGU W OKNO” (1)

Pod takim, nieco humorystycznym tytułem, zawarłam przemysłenia odnośnie fotografii myśliwskiej. Jest to termin bardzo szeroki, obejmujący zdjęcia głównie reportażowe, będące zapisem tego wszystkiego co działo się podczas łowieckich spotkań tematycznych, różnych uroczystości, festiwali, wszelakich polowań, zawodów - nie tylko strzeleckich, wystaw, giełd i targów, wycieczek i wypraw, czy wreszcie biesiad okolicznościowych, zawierający również fotografię katalogową eksponatów kolekcjonerskich, a w końcu bogate zbiory trofeów, a także ogromny i zupełnie odrębny dział zdjęć przyrodniczych. Chcę podzielić się własnym, wieloletnim doświadczeniem odnośnie fotografowania w kniei, na polowaniach, wśród myśliwych. Może ktoś z Was – Myśliwych i Kawalerów Zakonu Orderu Złotego Jelenia skorzysta z mych rad, może coś podpowiem, a może tylko przypomnę bądź usystematyzuję oczywistą wiedzę przyswojoną wcześniej.



Magdalena Langer

Postaram się zatem tak ukierunkować Wasze działania - uczulając na ważne aspekty przy fotografowaniu - aby wystarczyło jedno mistrzowskie naciśnięcie spustu migawki aparatu i strzał był celny. Aby trafiał w przysłowiową dziesiątkę, aby nie marnować „amunicji” w postaci kolejnych plików cyfrowych – zrobionych nieświadomie. Wykonujemy dziesiątki byle jakich, często nieprzemyślanych fotek. Im więcej tym lepiej, wychodząc z założenia, że zawsze choć jedna będzie udana, a resztę się wyrzuci, zmaże... i będzie można „pstrykać” kolejne zdjęcia, które w ogromnej większości nawet nie wyjdą poza obręb bazy danych w komputerze, a tym bardziej nie trafią do albumów.

Fotografia, najmłodsza ze sztuk pięknych, według najprostszej aczkolwiek powszechnie używanej definicji, jest to malowanie światłem, z języka greckiego: photos – światło, grapho – pisać, rysować, malować. Zamiast farb i pędzli fotograf ma dzisiaj do dyspozycji zgoła inny sprzęt, coraz to nowocześniejszy i bardziej wyspecjalizowany, mogący zadowolić najbardziej wyrafinowanych koneserów sztuki „malowania światłem”. W obecnej dobie fotografia stała się powszechna jak nigdy dotąd. Ale nie wystarczy nawet najlepsze wyposażenie sprzętowe, czy chociażby doskonała znajomość programu do postobróbki zdjęć, gdy brak jest tej „iskry bożej”, tego „oka”, a mówiąc wprost - umiejętności patrzenia przez obiektyw aparatu fotograficznego i co więcej - przewidzenia efektu, który chcemy osiągnąć. Moje hasło zatem brzmi: Świadomie! Fotografujmy świadomie! W przemyślany sposób, tak aby czerpać satysfakcję z własnoręcznie zrobionych fotografii.





Mówiąc o fotografii chcę się skupić na takich obrazach, które nie tylko będziecie mieli okazję zrobić, ale które mają stać się wizytówką i pamiątką Waszych dokonań, które podniosą rangę Waszych trofeów łowieckich.

Podstawowa trudność w doborze tematu fotograficznego polega na umiejętności sprowadzenia trójwymiarowej rzeczywistości do dwóch wymiarów, do przeniesienia jej na płaszczyznę. Bardzo często scena pojawiająca się przed naszymi oczyma zachwyca nas, wydaje się być wymarzoną do sfotografowania, ale gdy oglądamy wykonane już zdjęcie - rozczarowuje nas, już nie jawi się ono takie wspaniałe, jakiego oczekiwaliśmy. Czy da się tego uniknąć? Jakkolwiek zdaję sobie sprawę z faktu, iż moja praktyczna wskazówka nie jest jednoznacznym i idealnym wyznacznikiem, ale w praktyce sprawdza się znakomicie. Wystarczy jedynie przysłonić lub zamknąć jedno oko i popatrzeć tylko drugim na oglądaną scenę i dopiero wówczas zdecydować czy warto nacisnąć spust migawki. Gdy uznamy, że to jest właśnie to co chcemy osiągnąć, sprawa prosta – mamy udaną fotografię. Czasem wystarczy kilka kroków w jedną lub drugą stronę i kadr wyda się ciekawszy, będzie lepiej oświetlony, trafniej skomponowany. Wszak rola fotografa polega nie tylko na biernym odtwarzaniu rzeczywistości, ale i jej kreowaniu. Możemy i powinniśmy tę rzeczywistość zmieniać, czasem tylko w minimalnym stopniu, ale jednak zmieniać, dzięki swojej pomysłowości, swoim przemysłeniom i swojej wizji artystycznej. Nasza inwencja twórcza ma do dyspozycji trzy podstawowe narzędzia, są nimi: plan, perspektywa oraz kadr i jego orientacja.

W poszukiwaniu ciekawych ujęć fotograficznych trzeba pamiętać, że dany temat można pokazać na wiele różnych sposobów, a nasze możliwości są praktycznie nieograniczone. W fotografii obowiązuje pojęcie planu, który może być wąski, pośredni, bądź szeroki. Im więcej widzianego przez nas obrazu obejmujemy obiektywem aparatu fotograficznego, tym nasz plan będzie szerszy. Im zaś zawężamy pole widzenia, skupiając się w ostateczności do samych szczegółów i detali, tym plan będzie węższy. Z moich spostrzeżeń wynika, iż większość zdjęć robiona jest planem stosunkowo szerokim. Są naturalnie sytuacje, w których takie ujęcia są wskazane, np. liczna grupa myśliwych, piękny krajobraz, scena reportażowa rozgrywająca się na rozległym terenie, ale w ogólnym rozrachunku są to fotografie jedynie odzwierciedlające rzeczywistość, w jakiej znalazł się fotograf. Im bardziej będziemy zawężać plan, tym bardziej możemy kreować swoje zdjęcia. Czasem większą wymowę będzie miał palec na spuście sztucera czy „uśmiechnięta” kufa psa, niż cała postać myśliwego lub apor-tujący pies.

Kolejnym elementem kompozycji naszego dzieła, w znacznym stopniu wzmagającym ekspresję, jest perspektywa z której fotografujemy czyli pozycja aparatu w stosunku do fotografowanego obiektu. Do dyspozycji mamy trzy podstawowe perspektywy. Są to perspektywa normalna, żabia i ptasia. Przede wszystkim musimy zdać sobie sprawę z tego, iż zmiana pozycji aparatu wpływa na zmianę proporcji obiektów na zdjęciu, a dzięki temu możemy pokazać nowe spojrzenie na otaczającą nas rzeczywistość. O ile przy perspektywie normalnej fotografujemy z pozycji naszego oka, ewentualnie poziomu piersi, osiągając naturalne odwzorowanie, o tyle przy perspektywach żabiej i ptasiej mamy do czynienia ze zniekształceniami. I tak przy perspektywie żabiej, na przykład przyklękając, zniżamy aparat nawet aż do ziemi, obiektyw jednocześnie kierując w górę - wówczas dolne części obiektów





są bardziej rozbudowane niż górne. Jest to ciekawy sposób ujęcia zwierzyny lub naszych czworonożnych przyjaciół. W efekcie obiekt zainteresowania, będący tematem zdjęcia, wyda się większy oraz nabierze wrażenia siły i dostojności. Z kolei perspektywa ptasia, w której trzymamy aparat wysoko, z obiektywem skierowanym w dół na fotografowany obiekt, determinuje efekty przeciwne do poprzednich. W tym przypadku przedmioty oraz ludzie wydają się mniejsi i jakby wciśnięci w tło. Ten rodzaj perspektywy możemy wykorzystać przy fotografowaniu interakcji obiektów z otoczeniem, na przykład przy zdjęciach z biesiad, ognisk, oficjalnych uroczystości myśliwskich. Czasem warto wspiąć się na kilka szczebli ambony, poszukać wzgórką, z którego roztoczy się przed nami wspaniały widok na rozgrywającą się scenę wartą uwiecznienia.

Trzecim elementem mającym wpływ na kompozycję jest dobór kadru odpowiedniego do podjętego tematu. Przyjmijmy, że każda fotografia to fragment rzeczywistości ujęty w ramy. Od tego w jakich granicach zamknijemy nasz obraz w dużej mierze zależy siła wyrazu zdjęcia. Do dyspozycji mamy kadry: panoramiczny, prostokątny i kwadratowy. Z wyjątkiem kwadratu orientacja pozostałych może być pozioma lub pionowa. Ważnym jest, aby tak wykorzystać kształt wykonywanego ujęcia, żeby uzupełniał on kompozycję obrazu i tworzył z nią harmonijną całość. A więc do rozległych pejzaży, grup myśliwych czy pokotów stosujemy panoramy i kadry prostokątne, oczywiście o orientacji poziomej, ale już do pojedynczych osób, drzew, nawet zwierzyny, często o wiele odpowiedniejszy jest kadr również prostokątny, ale o orientacji pionowej. Kadrów kwadratowych używamy rzadziej, ale warto spróbować, dają bowiem wyśmienite efekty przy wszelkich detalach, zwłaszcza w połączeniu z wąskim planem, czyli przy fotografowaniu w tzw. zbliżeniu oraz gdy fotografujemy motywy o rysunku symetrycznym.

Do tej pory skupiałam się na odpowiedziach na pytania jak fotografować, a nie - co fotografować, zostawiając autorom zdjęć swobodę odnośnie doboru tematu. Teraz przybliżę wybór tematu i właściwe, z punktu widzenia percepcji oraz budowy obrazu fotograficznego, jego





ujęcie. W rozległej tematyce fotografii myśliwskiej spotykamy się z czterema podstawowymi grupami zdjęć. Są to: reportaż, portret w całej gamie swojej różnorodności, fotografia katalogowa oraz zdjęcia przyrodniczo – krajobrazowe, zarówno flora jak i fauna. Jest niezaprzeczalnym faktem, iż wśród zdjęć myśliwskich przeważa fotografia reportażowa, czyli jak mówi definicja - przedstawianie wydarzeń, których świadkiem był autor, a więc fotografia faktu, nieubarwionego kreacją artystyczną fotografującego. Są to głównie fotografie przedstawiające uchwycone kawałki teraźniejszości, bez ingerencji fotografa w daną scenę. Ich istotą jest, w myśl definicji, aby w miarę obiektywnie opowiadały o tym co się wydarzyło, gdzie i w jakich okolicznościach. Mają być dokumentem zaszłości, a rolą fotografa powinien być jedynie neutralny zapis. Niemniej jednak sposób ujęcia tematu i tak będzie zależał w ogromnej mierze od nas oraz naszych umiejętności patrzenia na otoczenie. Przedstawioną powyżej część ogólnych uwag odnośnie artystycznej strony świadomego tworzenia obrazu fotograficznego można wykorzystać zarówno przy fotografowaniu reportażu, jak i w innych rodzajach zdjęć. Są to środki wyrazu mogące spotęgować ekspresję naszych fotografii, pomóc wydobyć to co najistotniejsze, to co chcemy lub powinniśmy podkreślić. Gdy zatem zdecydujemy już z jakiej perspektywy chcemy fotografować, jak szeroki plan nas zadowoli,



a także w jakie ramy zamkniemy interesujący nas „wycinek rzeczywistości”, możemy przystąpić do naciśnięcia spustu migawki...

A jak sfotografować pokot - kwintesencję łowów. Przecież takie zdjęcia ma w swoich zbiorach każdy Myśliwy, jako podsumowanie polowania i jego wymiernych efektów, które chcemy uwiecznić. Niejednokrotnie niestety, są to jedyne zdjęcia z polowania, na inne najczęściej nie ma czasu, ani okazji. Uwaga podczas polowania w jak największym stopniu skupiona musi być na obserwacji terenu, słuch wyczulony, zachowana maksymalna cisza, brak ruchu. Myśliwy widząc godną strzału zwierzyne, nawet mając aparat fotograficzny pod ręką, nie będzie decydował czy nacisnąć spust migawki aparatu czy





spust broni. Wiadomo co wybierze!

Jak zatem satysfakcjonująco ująć pokot, żeby wyglądał naturalnie, ale i okazałe? Aby zachowane zostały proporcje rzeczywiste między ludźmi a zwierzyną? O tym zatem, że pokot fotografujemy obowiązkowo od przodu, nie muszę chyba wspominać. Zwierzyna ułożona z należytym jej szacunkiem, w porządku nakazanym zwyczajowo, na podściółce z gałęzi, z „ostatnim kęsem”, odwrócona głowami – może nawet lekko uniesionymi dzięki podparciu - w stronę fotografującego, który robi zdjęcia na wprost lub pod niewielkim kątem, od jednego lub drugiego boku. Oczywiście należy wziąć pod uwagę tło i oświetlenie. W tle unikajmy niezwiązanych z łowiectwem elementów (budynki, samochody, osoby towarzyszące). Zajmijmy się pierwszym planem, a więc samym pokotem. Z wielkim naciskiem zwracam uwagę na odpowiednie przygotowanie zwierzyny, zwłaszcza grubej, do położenia na pokocie. Zadbajmy by nasze upolowane zwierzęta wyglądały godnie, by były ułożone w pozach w miarę naturalnych. Zawsze musimy pamiętać o obtarciu farby w miejscach widocznych i takim obróceniu zwierzyny, aby cięcie po patroszeniu nie znalazło się na fotografii. Nie muszę tłumaczyć jakie uczucia może wzbudzać u osób niezwiązanych z łowiectwem widok krwi, zwłaszcza w obecnej dobie braku życzliwości dla łowiectwa. O ile przy polowaniach „po czarnej stopie” nie musimy aż takiej dużej uwagi przywiązywać do podłoża, o tyle bardzo istotne znaczenie ma to przy polowaniach „po białej stopie”. Na śniegu, w scenerii biało – brunatnej, nawet jedna czerwona kropla odznaczy się ogromną siłą. Wtedy szczególnie musimy zadbać o ułożenie zwierzyny





na nieskazitelnym podłożu. Nie powinno być problemem przygotowanie kobierca z gałęzi drzew iglastych, a w razie potrzeby sypnięcie czystym śniegiem... . Czasem lenistwo podsyte zmęczeniem powoduje, iż nie dopatrzemy tych, jakże ważnych czynności, dla wizerunku całego polowania. Powstające w takich okolicznościach fotografie nie są na pewno tymi, którymi chcielibyśmy się chwalić. Zatem znów ponawiam moje hasło: „róbmy zdjęcia świadomie!”, wystrzegając się na fotografiach widoków, które deprecjonują łowiectwo.

Sądzę, że warto zastanowić się też nad kolorystyką naszej fotografii, dotyczy to nie tylko pokotu. Oczywiście jest fakt, iż większość zdjęć otrzymujemy w pełnym kolorze. Są intensywnie barwne i rzeczywiście dla odpowiedniej wymowy większości fotografii barwa jest niezbędna. Podkreśla walory naszej przyrody, umiejscawia w realiach sceny reportażowe, uwydatnia głębię portretów, daje stosowny pogląd o kolekcjach i trofeach. Ale istnieją również tematy fotograficzne, które przedstawione w sposób monochromatyczny wyglądają zdecydowanie lepiej. Nie omijajmy zdjęć czarno-białych czy tych zrobionych w sepii, zabarwionych chociażby na zielono lub tych w indygo czy brązie. Jakże wspaniale komponują się one z wystrojem myśliwskich gabinetów, pojawiając się wśród trofeów i pamiątek – bywa, że kolor jest zbędny. Wspominając o fotografiach jednobarwnych chcę podkreślić również ich specyficzną przydatność dla myśliwych przy fotografowaniu pokotu i trofeów. Jak zaznaczyłam wcześniej, nie zawsze uda się mimo starań uniknąć na fotografii farby. W wielu przypadkach ten jaskrawo czerwony kolor zdecydowanie psuje nie tylko przekaz bezpośredni, ale i kompozycję naszego zdjęcia. Można wtedy skorzystać z dobrodziejstw programu do obróbki komputerowej zdjęć i zmniejszyć w znacznym stopniu nasycenie denerwującej nas barwy lub zastosować jakże prosty, acz niezmiernie przydatny trik – po prostu zmienić nasz obraz lub jego część na monochromatyczny. Nie tylko nie będziemy razić czyichś uczuć, ale otrzymamy interesujący obraz w stylu retro.

Niezmiernie ważne jest również oświetlenie pokotu, jak zresztą każdej fotografowanej sceny. W naszym przypadku powinno być jednorodne, im bardziej rozproszone tym lepiej. Jeżeli zakończenie polowania przypada w ciągu dnia, gdy światło jest mocne – nie ma problemu. Pamiętajmy tylko aby nie fotografować „pod światło”, a gdy pokot jest tak ułożony, że nie mamy innego wyjścia, wówczas z pomocą przychodzi nam lampa błyskowa, nawet w dzień. Z zakończeniami polowań w godzinach późniejszych, zwłaszcza już po zachodzie słońca jest trudniej. Cóż, zawsze można użyć wspomnianej już lampy błyskowej. Tylko czy warto i czy jest taka konieczność? Przede wszystkim współczesne aparaty fotograficzne dysponują coraz czulszymi elementami światłoczułymi (matryce, filmy). Powszechnie wiadomo, że z im większą czułością fotografujemy, tym bardziej zwiększamy tzw. szumy lub tzw. ziarno, co wpływa niekorzystnie na nasze zdjęcia. Zawsze można jeszcze zwiększyć czas, otwór przesłony, ale to już tematy czysto techniczne, nie na aktualne dywagacje... . Z tego co powiedziałam wynika, że możemy świadomie operować nie tylko elementami kompozycji, ale również parametrami aparatu. Możemy też skorzystać ze statywów czy podpórek lub z dodatkowego światła sztucznego i bynajmniej nie mam tu na myśli przenośnych lamp studyjnych ani lamp błyskowych – tych używamy w ostateczności. Na wielu polowaniach przy pokocie ustawiane są latarnie smolne, pochodnie i im podobne źródła ognia, które oświetlają nasz pokot w sposób zadowalający, a przy okazji naturalnie, żeby nie powiedzieć





nastrojowo. Ciekawym również sposobem oświetlenia pokotu, niejednokrotnie stosowanym, jest włączenie reflektorów samochodowych. Są to światła co prawda bardzo jaskrawe, dające kontrastowe oświetlenie, ale ustawione w tzw. kontrze, czyli naprzeciw siebie, spełnią swoją rolę znakomicie.

Do tej pory omawiałam głównie pierwszoplanową zwierzynę, ale przecież równie ważni są ludzie. Skoro przy pokocie chętnie fotografują się nie tylko myśliwi, naganiacze, sygnaliści, ale i inne zainteresowane łowiectwem osoby, postarajmy się ustawić je za zwierzyną – fotografia rządzi się własnymi normami, nie ingerując w zwyczaje łowieckie odnośnie zbiórki i pokotu. Teraz istotna staje się perspektywa w jakiej całość sceny będzie fotografowana. Proponuję perspektywę normalną lub „żabią” (omówioną wcześniej) – w tym przypadku przerysowania są korzystne, ponieważ nasza zwierzyna leżąca na pokocie wydaje się być okazalsza i większa niż jest w rzeczywistości. A skoro już robimy zdjęcia tzw. pozowane, zadbajmy o swój wygląd, a więc poprawmy ubiór, włóżmy kapelusze, wyrzućmy papierosy i schowajmy plastikowe butelki czy kubki, przede wszystkim zaś wyprostujmy się zawadiacko i wciągnijmy brzuchy, zapominając o przebytych kilometrach i znużeniu. Teraz nadeszła pora na przyjrzenie się fotografii grup. Gdy fotografujemy zbiórki rzeczą oczywistą jest, iż szereg myśliwych powinien być idealny, równo stojące postacie obok siebie, w jednakowych odstępach. Przy liczniejszych grupach, zwłaszcza na oficjalnych uroczystościach, uważajmy aby wszyscy byli dobrze widoczni, a to już wymaga pewnej ingerencji fotografa lub jego asystenta. Takie zdjęcie musimy wyreżyserować, zrobić kilka ujęć tej samej grupy, ponieważ zawsze ktoś zamknie oczy lub się odwróci - będziemy mieli wówczas z czego wybierać. Stosując się do zasad geometrii fotograf powinien znajdować się nieco wyżej niż fotografowana duża grupa osób. Kiedy nastrój na spotkaniu jest luźniejszy - dajmy temu wyraz w dokumencie, jakim jest właśnie nasza fotografia. Nie zastygajmy w wymuszonej pozie kiedy zbliża się człowiek z aparatem, a fotki grupowe róbmy na wesoło, w ruchu, bez niepotrzebnej





sztuczności i szpanu. Grupa przy ognisku czy biesiadzie, w której wszyscy stoją na baczność jest nienaturalna i nieadekwatna do towarzyskiej sytuacji. Pamiętajmy, że wesołość i humor nie muszą oznaczać śmieszności. Walorem niesionym przez nasze zdjęcie może być radość chwili, jej doniosłość lub powaga, ale zawsze przekaz nie powinien być obojętny i nijaki. Dobra fotografia ma poruszać emocje i wzbudzać uczucia. Tak oto przedstawiłam możliwości i sposoby fotografowania pokotu, jednego z najważniejszych elementów życia łowieckiego oraz wspominałam o zdjęciach grupowych. Oczywiście należałoby również zainteresować się portretami braci łowieckiej.

Chętnie podzielę się moimi przemyśleniami odnośnie indywidualnych portretów myśliwskich, tych które każdy z Was ma w swoich zbiorach, często eksponuje na ścianach gabinetów myśliwskich. Powinny one wiele mówić o samym Myśliwym, jego pasji, zainteresowaniach, trofeach i osiągnięciach. Rozpocznę zatem od encyklopedycznej definicji portretu, konterfektu – słów pochodzących z języka łacińskiego: *protrahere* – wydobywać na światło dzienne, wyjawiać, pokazywać, *contrafacere* – naśladować. Jest to artystyczny wizerunek (rysunkowy, malarski, rzeźbiarski, graficzny, fotograficzny) konkretnej osoby lub grupy osób, ukazujący zewnętrzne podobieństwo, aparycję oraz niekiedy cechy charakteru oraz emocje portretowanych. Wśród wielu rodzajów klasyfikacji portretu, nas będzie interesował podział na fotografię atelierową (ta jedynie w bardzo wąskim zakresie dotyczy zdjęć myśliwskich) oraz plenerową. Poza studiem, gdzie w pełni decydujemy o rodzaju tła i oświetlenia, w plenerze wchodzimy niejako w już zaaranżowany plan zdjęciowy. Niejednokrotnie nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak odpowiedni dobór tła może w znacznym stopniu wpłynąć na odbiór, ocenę i czytelność portretowanej postaci, może wzmocnić dynamikę i ekspresję zdjęcia lub przeciwnie – wydatnie ją zmniejszyć. Tło zatem ma ogromne znaczenie tak kompozycyjne jak i merytoryczne. Musi stanowić całość z motywem głównym, jakim jest nasz model, musi z nim korespondować, podkreślając moc przekazu wizualnego. W przypadku portretów Myśliwych zazwyczaj będziemy mieli do czynienia z tłami naturalnymi, a więc rozległy krajobraz, ścianę lasu, malowniczą łąkę lub pole, albo specjalnie zaaranżowaną scenę myśliwską. Dobierajmy je tak, aby były nie tylko piękne, ale i dopełniały proponowaną przez fotografa koncepcję obrazu, a nie burzyły jej. Fotograf musi umieć ogarnąć mentalnie całość wypełnienia założonego przez siebie kadru, a więc nie tylko modela, ale również drugi i dalsze plany. To tam właśnie często znajdują się niepożądane elementy fotografowanej sceny, dyskwalifikujące zdjęcie. Nawet gdy je dostrzeżemy i przy patrzeniu trójwymiarowym nie przeszkadzają, to gdy ograniczymy nasz obraz do dwóch wymiarów, staje się jasne, że psują kompozycję naszego zamysłu. ...A to słup wysokiego napięcia lub wysoki komin „wyrastający” z głowy, a to kolorowy samochód lub znak drogowy wystający zza pleców... . Uniknąć takich wpadek można bardzo łatwo, wystarczy kilka kroków w jedną czy drugą stronę i tło okazuje się bez skazy – wszak przyroda, na łonie której najczęściej się fotografujemy nie powinna mieć znamion industrializacji. Dlatego patrzmy uważnie, świadomie oceniamy nie tylko portretowanego, ale zwracamy też baczność na otoczenie, wybierając scenę, która pasuje nastrojem do fotografowanej osoby, jej rysów i wyrazu twarzy, sylwetki czy wyglądu i stroju. Również zbyt „gęste” tło, pełne drobnych szczegółów, zaburzy klarowność kompozycji.





Często stosowanym zabiegiem wzmacniającym przekaz estetyczny jest tzw. rozmycie tła, przy zachowanej ostrości głównego obiektu. Najłatwiej uzyskać na fotografii takie rozostrenie dalszego planu, jeśli elementy, na tle których fotografujemy modela, znajdują się od niego w odpowiednio dużej odległości. Podręcznikowo rzecz ujmując chodzi o zastosowanie małej głębi ostrości, czyli zakresu odległości w jakiej nasza fotografia będzie ostra. Technicznie osiągniemy ją dzięki wykorzystaniu obiektywu z dłuższą ogniskową i niskiej liczby przysłony - czyli dużej średnicy otworu, najlepiej w okolicy pełnego otworu względnego obiektywu. Rozmyjemy w ten sposób na zdjęciu tło, które przestanie rywalizować o uwagę widza z portretowanym modelem.



Kolejnym ważnym aspektem fotografii portretowej jest kadrowanie, od bardzo wąskiego (np. sama twarz) do bardzo szerokiego (np. mała postać umiejętnie wtopiona w pejzaż). Jest to naturalnie indywidualna decyzja fotografa podyktowana zaplanowaną kompozycją. Regułą najczęściej stosowaną jest zostawianie odpowiedniego marginesu nad postacią i po bokach, ale dopuszczalne jest także bardzo wąskie kadrowanie portretu samej twarzy w połowie czoła lub „ucięcie” czubka głowy - zostawiamy wówczas szyję i kawałek ramienia. Jeśli przycinamy nogi, róbmy to w połowie ud, czyli zastosujmy tzw. kadr amerykański.

Bez kolejnej dawki podbudowy teoretycznej trudno





byłoby osiągnąć oczekiwane efekty w fotografii, a w portretowej szczególnie. Zazwyczaj modela umieszczamy w centrum kadru, robiąc to niejako odruchowo. Zdaję sobie sprawę z faktu, iż tak jest najłatwiej, mianowicie autofokus sam wyostrzy zdjęcie, a nam pozostanie tylko „pstryknięcie”. Ale nie do końca jest to słuszne, ponieważ kompozycyjnie takie zdjęcie może nie być udane, zwłaszcza przy zastosowaniu szerokiego planu. Zatem pozwolę sobie przedstawić podstawową regułę dotyczącą kompozycji, tzw. „złoty podział” (ang. Golden Sections) inaczej zwany boskimi proporcjami (Divine Proportions), której opracowanie przypisuje się Pitagorasowi lub jego uczniom, a zapis matematyczny Euklidesowi. Jej uproszczoną formą jest trójkpodział. Cóż to takiego? Otóż wystarczy nasz kadr w wyobraźni (choć wiele współczesnych aparatów fotograficznych, z telefonami komórkowymi włącznie, ma już taką funkcję) podzielić dwoma liniami poziomymi i dwoma liniami pionowymi, zwanymi mocnymi liniami, na dziewięć jednakowych pól. Na przecięciach linii otrzymamy cztery punkty, zwane mocnymi punktami obrazu, to one właśnie najbardziej przyciągają wzrok ludzki. W tych punktach, obojętne czy w jednym, dwóch, trzech czy czterech, lub na liniach łączących te punkty, umieszczamy to, co najważniejsze na naszym zdjęciu, to co chcemy podkreślić, to co ma w pierwszym rzędzie rzucić się w oczy widzowi. Opanowanie komponowania kadru z wykorzystaniem trójkpodziału powinno być punktem wyjścia do bardziej zaawansowanej edukacji fotograficznej. Zaś świadome stosowanie tej prostej reguły pozwala na panowanie nad kompozycją obrazu, który będzie harmonijny i w pełni poprawnie zbudowany. Przestrzeganie zasad trójkpodziału oraz umieszczanie istotnych elementów naszej kompozycji w mocnych punktach ułatwia również poprawne zaprojektowanie portretu. Portretując na przykład myśliwego bardzo szerokim planem, a więc z dużą ilością tła, umieścimy go w jednym z tych czterech punktów. Jeżeli nieco zawężymy plan, nasz myśliwy powinien znaleźć się na linii łączącej dwa sąsiednie punkty, niezależnie od orientacji kadru (pion lub poziom). Jeżeli zaś zdecydujemy się na plan bardzo wąski, wówczas linia oczu powinna pokrywać się z jedną z linii trójkpodziału, ewentualnie w mocnych punktach powinny znaleźć się oczy, jako zdecydowanie najbardziej wyrazisty i wymowny element twarzy. Jeżeli fotografujemy półprofil i fotografowana osoba patrzy w bok, dobrze jest zostawić więcej przestrzeni z tego boku kadru, do którego skierowany jest wzrok modela - nadaje to zdjęciu więcej charakteru i spójności kompozycyjnej. Czasami decydujemy się świadomie łamać reguły, wykorzystując linie ukośne, wówczas nasza fotografia nabierze dynamiki. Kompozycja diagonalna to znakomity sposób na zaakcentowanie przeciwieństw, opozycji, na podkreślenie impresyjnej strony naszego zdjęcia.

Stosowanie omówionych wcześniej trzech podstawowych perspektyw fotografowania ma zastosowanie również w portrecie. Aby zachować odpowiednie proporcje modela, fotografując wąskim planem, trzymamy aparat na wysokości oczu. Przy fotografowaniu szerszym planem, a więc całej postaci, aparat powinien znajdować się na wysokości piersi. W obu przypadkach mamy do czynienia z perspektywą normalną. Możemy naturalnie obniżyć nieco położenie aparatu by uwypuklić fotografowanego, podnieść jego rangę, znaczenie lub po prostu wysmuklić sylwetkę i wydłużyć nogi, czyli użyć wspomnianej perspektywy żabiej. Natomiast perspektywa ptasia umniejsza fotografowanego, niejako wtlaczając go w tło. Również poza modela musi wynikać z zaplanowanej przez fotografa koncepcji.





To on jest twórcą i sam musi umieć znaleźć własną wizję artystyczną fotografowanej osoby. Tutaj żadne moje sugestie nie pomogą, no może poza jedną - nie zapominajmy o możliwości zawężenia planu i to znacznym, wszak zbliżenia potęgują ekspresję.

Trafny, oddający prawdę portret, powinien pokazywać emocje osoby fotografowanej, opowiadać jej historię, podkreślać ten jedyny, niepowtarzalny moment. Starajmy się, aby w naszym zdjęciu odbiorca mógł zobaczyć dużo więcej, niż tylko poprawny obrazek. Przed rozpoczęciem zdjęć starajmy się porozmawiać, nawiązać kontakt intelektualny z osobą, którą fotografujemy. Wierzcie mi, zdecydowanie łatwiej współpracuje się z osobami już nam znanymi, w atmosferze przyjaźni i życzliwości.

I wreszcie czynnik podstawowy czyli światło - widzialne pasmo promieniowania elektromagnetycznego. Jest ono niezbędnym warunkiem powstania fotografii zarówno pod względem technicznym, jak i artystycznym. Oświetlenie to termin określający światło zastane lub dodatkowe zastosowanie różnych źródeł światła w celu uwidocznienia miejsc, obiektów i ich otoczenia. Oświetlenie decyduje nie tylko o tym, jak postrzegamy otoczenie, ale również wydatnie wpływa na klimat fotografowanej sceny. Warunki oświetlenia w znacznym stopniu determinują efekt końcowy działań fotografa. Dla zdjęć portretowych światło ma szczególne znaczenie. Na zadawane przeze mnie podchwytliwe pytanie - jakie światło jest najlepsze? - otrzymuję wiele najprzeróżniejszych odpowiedzi. A to dzienne, a to sztuczne, a to boczne, górne, rozproszone, ostre i wiele, wiele innych... . Każda z tych odpowiedzi jest tylko częściowo poprawna, sprawdza się w przypadku jednej konkretnej fotografii, a na moje pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Ponieważ światło najlepsze to takie, które swoim charakterem, ściślej ujmując swoimi parametrami, a więc natężeniem, barwą, ukierunkowaniem, stopniem rozproszenia, odpowiada podjętemu tematowi fotografii, podkreślając jednocześnie dramaturgię oraz plastykę portretowanego modelu i przedstawianej sceny. O ile nad światłem sztucznym, zarówno ciągłym, jak i błyskowym jesteśmy w stanie zapanować, o tyle światło naturalne wymyka się spod kontroli. W przypadku fotografowania w plenerze musimy dostosować się do warunków oświetleniowych, bo są one niezależne od nas i nie mamy wpływu na ilość oraz kierunek padania światła. To my musimy dostosować swoją koncepcję do zastanych warunków, musimy zaaranżować fotografię tak, aby światło zastane posłużyło nam w pełni zadowalająco.

Wbrew powszechnie panującej opinii, piękna słoneczna pogoda, absolutnie nie sprzyja portretowaniu. Owszem przyroda wygląda wówczas urzekająco, ale panują ogromne kontrasty w oświetleniu. Ostre przejścia między światłem a cieniem w znacznym stopniu podnoszą rozpiętość tonalną zdjęć, w skrajnych przypadkach pojawiają się na nich elementy idealnie białe - prześwietlone i głęboko czarne - niedoświetlone. Niektórym rodzajom fotografii to nie przeszkadza, ale portretom służy nie najlepiej. Zatem właściwe oświetlenie stanowi warunek wykonania każdego dobrego zdjęcia, a portretu w szczególności. Możemy wszystko zaplanować bezbłędnie, ale jeśli oświetlenie jest nieodpowiednie, portret nie będzie należał do udanych. Dla porterów najlepsze jest światło rozproszone, miękkie, panujące w dzień pochmurny, nawet mglisty, wtedy na fotografii przejścia od światła do cieni nie są ostro odcięte, a sylwetka lub twarz zostają ładnie wymodelowane. Jeżeli mimo wszystko musimy sportretować kogoś w dzień słoneczny wejdźmy z nim w cień, będzie i tak wystarczająco





jasno by zrobić prawidłowo naświetlone zdjęcie. Będąc na słońcu z konieczności doświetlmy swój obraz lampą błyskową, jej światło skoryguje choć trochę głębokie, nietwarzowe cienie powstające w okolicach oczu i nosa. Pamiętajmy, że każde ostre światło podkreśla wszelkie mankamenty skóry, zmusza również modela do mrużenia oczu, co z kolei powoduje niekorzystny wyraz twarzy. I jeszcze podstawowa uwaga - pod żadnym pozorem nie ustawiamy naszych modeli, a tym bardziej całych grup, na planie oświetlonym częściowo bezpośrednim światłem słonecznym, a częściowo w miejscach zacienionych. Takiego zdjęcia nawet najbardziej perfekcyjna obróbka może nie uratować. Wspomnę również o porze dnia, w której warto fotografować. Wiadomo, że w godzinach południowych, gdy słońce jest wysoko, światło mamy górne, barwa światła zbliżona jest do białej, a cienie są krótkie. Wcześniej rano oraz po południu, kiedy słońce jest stosunkowo nisko, światło przybiera cieplejszą barwę, by wreszcie tuż przed zachodem stać się pomarańczowe, wtedy cienie znacznie się wydłużają. Polecam portrety robione w takim właśnie miękkim oświetleniu, o cieplej barwie, cień zaś można wykorzystać jako element kompozycji obrazu.

Mówiąc o myśliwskim portrecie należy również nadmienić, że bardzo często jest to portret z tak zwanym rekwizytem, a zatem nie sama postać, ale dodatkowy element – w naszym przypadku jest to najczęściej czworonożny pupil, broń, trofeum, upolowana zwierzyna, sztandar, wyjątkowy okaz kolekcjonerski lub choćby kapelusz ze złomem... . Wymienione przeze mnie przykładowe elementy są tak zwanym sztafażem wzbogacającym i intensyfikującym wizualny przekaz i osadzają tworzony portret w realiach łowieckich. Od inwencji twórczej osoby robiącej dany portret będzie zależało jak najkorzystniej skomponować poszczególne elementy powstającego obrazu fotograficznego. Starajmy się wykorzystać wieloplanowość w tworzeniu układu poszczególnych elementów naszej fotografii. W wielu przypadkach korzystnym jest umieszczenie przedmiotu związanego z łowiectwem na pierwszym planie, przed portretowaną osobą. Ponieważ fotografia portretowa jest mało dynamiczna, mamy czas aby kolejne kroki w tworzeniu naszego dzieła zaplanować, przemyśleć i zyskać akceptację u portretowanego. Myśliwskie portrety reportażowe, w scenerii naturalnej, na łonie przyrody - bo takie w większości tworzymy - uważam za bardzo prawdziwe, osadzone w rzeczywistości, posiadające niezaprzeczalny klimat, gdzie tło, sceneria i sztafaż współbrzmia nierozzerwalnie ze sobą. Każdy z Was powinien je mieć w swoich zbiorach.

Do tej pory mówiłam jak pracować z osobami, jak zadbać o reportaż, żeby praca przyniosła oczekiwane, wymienione efekty. Aby fotografowie i portretowani myśliwi, naganiacze, sygnaliści, osoby zaproszone, biesiadnicy oraz ci wszyscy, którzy zasługują na naszą uwagę – byli zadowoleni. Ale co z psami, nieodłącznymi towarzyszami myśliwych, co ze zwierzyną naszych kniei, łąk i pól? Im również należą się zręczne, by nie powiedzieć piękne wizerunki. A co z pejzażem, środowiskiem, w którym funkcjonuje łowiectwo, z samą naturą, przyrodą? Sądzę, iż ta tematyka wymaga obszernego przedstawienia w osobnej wypowiedzi.





„WOJOWNIK Z KORSYKI” PRZYBYŁ NA ŁĄCZKI JURAJSKIE

Zasoby przyrodnicze w Polsce są jednymi z najbogatszych w Europie. Bioróżnorodność i stan poszczególnych gatunków roślin i zwierząt może być przykładem zachowania równowagi w całym ekosystemie. Oczywiście nie ma sytuacji, w których zagrożone gatunki bez pomocy człowieka nie przetrwają, ale też z pomocą człowieka mogą zginąć. Równowaga ta z trudem funkcjonowała przez całe lata, raz lepiej raz gorzej, ale dziś doszły do głosu środowiska, które za nic nie chcą przyjąć argumentów praktyków i naukowców, spojrzeć w przeszłość i podejść racjonalnie do rozwiązań gdzie indziej sprawdzonych. Dla nich jest tylko jedno hasło - „zachować dla przyszłych pokoleń”, ale w takiej formie jaką sami określają. Bez tradycji i doświadczeń całych pokoleń, bez argumentów naukowych popartych praktyką, bez równowagi przyrodniczej, w której człowiek też funkcjonuje.



Maciej Bogdański

Łowiectwo w Polsce ma ogromne tradycje, ale to nie tylko polowania, kultura, zachowanie tradycji i dziedzictwa, to również czynna ochrona przyrody. Kto jak nie ludzie, którzy poprzez swoją pasję łowiecką potrafią godzinami obserwować przyrodę, analizują zachowania zwierząt, ich stan zdrowotny, liczebność, oddziaływanie na środowisko.

Moje łowiectwo to tradycja całych pokoleń mojej rodziny, ale też spełnienie dziecięcych marzeń wywołanych opowiadaniem Nemrodów i lekturami książek przygodowych. Św. Hubert pozwolił mi z sukcesami polować na innych kontynentach, ale też obserwować przyrodę i poznawać zwyczaje łowieckie w innych krajach, jednak najmiłsze



Wyjazd z córką Małgorzatą do Nyznerova połączone ze zwiedzaniem zamku w Jaworniku



Odlownia u Karla w Nyznerovie





są wspomnienia łowieckie z Polski. To nie tylko z uwagi na rodzimą przyrodę, ale też bliskie kulturowo obyczaje i zwyczaje towarzyszące łowiectwu. Łowiectwo to nie tylko polowania, to również dbałość o łowisko, gospodarkę hodowlaną i rolną.

Polując od wielu lat w terenach górzystych zaobserwowałem, że w wyniku spadku zasobów wodnych występujących w sadzawkach, strumykach, stawach leśnych i śródpolnych, zwierzyna zaczyna schodzić w coraz to niższe partie gór, albowiem spragniona jest wody. Natomiast owca, zarówno ta dzika jak i ta hodowlana, potrafi nawet z ubogiej roślinności pozyskać wodę niezbędną dla swojego organizmu.

Obserwując rozwój populacji dzikiej owcy, czyli muflona „*Ovis aries musimon*” w Górach Sowich, Karkonoszach, Masywie Śnieżnika doszedłem do wniosku, że warto by było sprowadzić go na teren Jury Krakowsko-Częstochowskiej, a konkretnie w rejon Nadleśnictwa Złoty Potok. Uzasadnienie tego pomysłu to nie tylko coraz większy brak wody występującej w naturze, ale również fakt, że muflon praktycznie nie wyrządza szkód w rolnictwie i leśnictwie. Krajobraz Jury również bardzo się zmienia, opuszczane przez rolników pola zarastają w błyskawicznym tempie brzozą, grabem i osiką oraz prawdziwą plagą, jaką jest nawłoc pospolita, zwana również Złotą Dziewicą. Charakterystyczne dla Jury ostańce oraz halizny znikają bezpowrotnie, zarośnięte miotłą brzożową i grabową. Krajobraz, który znamy od pokoleń, pozostanie tylko na starych fotografiach i wspomnieniach mieszkańców Olsztyna, Niegowy, Kroczyca, Morska, Ogrodzieniec, Młoszowej, Babcic i Pustyni Błędowskiej.

Można po części temu zapobiec, prowadząc kontrolowane wykaszanie nieużytków oraz wypas zwierząt domowych.

Świetnie w ten krajobraz może wkomponować się właśnie dzika owca - muflon, mająca skromne wymagania żywieniowe. Chętnie obgryza suche pozostałości po wegetacji, przyrosty grabowe i bukowe, korę i trawy wydmowe. Genetycznie przystosowana do terenów gdzie występuje skąpa roślinność (Korsyka, Sardynia), potrafi wykorzystać do życia nawet najbardziej ubogie tereny.

Na tereny polskie muflon został sprowadzony w 1901 roku przez hrabiego von Magnisa z terenów Sudet Słowackich i zasiedlony w Górach Wałbrzyskich, Górach Bardzkich i Karkonoszach.

Muflon zasadniczo prowadzi dzienny tryb życia, ale nocą potrafi również się przemieszczać. Okres godowy przypada od końca października do połowy grudnia, ciąża u owiec trwa 22 tygodnie. Młode przychodzą na świat na przełomie marca i kwietnia, najczęściej rodzi się jedno jagnię, jednak przy dobrych warunkach środowiskowych może urodzić się dwa. Jagnię pozostaje pod opieką matki aż do następnego roku, a konkretnie do momentu urodzenia kolejnego jagnięcia.

Tryki, zwłaszcza w okresie rui, walczą zaciekle ze sobą, a gdy im brakuje przeciwnika to uderzają potężnie w wybrane drzewo, aż kora odpada.

W 2003 roku, po konsultacjach w moim kole łowieckim „Knieja” Złoty Potok oraz „Jelen” w Będzinie na temat możliwości zasiedlenia, sporządziłem plan wykonania zagrody adaptacyjnej oraz procedur związanych z pozwoleniami administracyjnymi i nadzorem weterynaryjnym. Całą stroną merytoryczną dotyczącą biologii, hodowli i zasiedlenia zajęł





Zagroda ma powierzchnię 3 tys. ha



Kolekcja w kancelarii gospodarza obwodu



Wybrane miejsce na zagrodę to Góry Gorzkowskie



Zima tu ma swoje prawa

się mój syn Michał, świeżo upieczony magister SGGW w Warszawie, pracę pisał pod kierunkiem i nadzorem prof. dr hab. Ryszarda Dzieciółowskiego. Wybitna osobowość, wiedza i doświadczenie profesora - to najlepsza rekomendacja udanego zasiedlenia tego gatunku zwierzyny. 1 czerwca 2005 roku Michał odebrał decyzje Ministra Środowiska, wyrażającą zgodę na chów i hodowlę zamkniętą muflona do celów badawczych, dydaktyki oraz zasiedleń na terenie Nadleśnictwa Żłoty Potok. Po ostatecznych ustaleniach z Nadleśnictwem Żłoty Potok i kołami łowieckimi, Michał przystąpił do poszukiwań odpowiedniej hodowli, z której można było pozyskać najbardziej wartościowe osobniki pod względem poprawności genetycznej. Decyzja wyszukania odpowiedniej hodowli została wsparta przez naszych przyjaciół w Czechach, myśliwych i hodowców zwierzyny. Pomogli nam w nawiązaniu kontaktów i przygotowaniu odpowiednich dokumentów. Ostateczny wybór padł na jedną z największych i najlepszych zagród hodowlanych na północy Czech w miejscowości Nyznerov, o powierzchni prawie 3 tys. ha. To właściwie jest obwód łowiecki, gdzie w części otwartej przestrzeni prowadzona jest normalna gospodarka łowiecka w rozumieniu naszego, krajowego systemu hodowlanego. Właściciel tej zagrody Karel Zatloukal swoje doświadczenie hodowlane zdobywał wcześniej w znanej stadninie koni Kladruby w Pardubicach.

Pierwsza nasza wizyta – rekonesans odbyła się w okresie letnim i trudno było wówczas spotkać większy kierdel. Ale sztuki, które wtedy spotkaliśmy, upewniły nas o trafnym wyborze. Do tego widok trofeów muflonów w kancelarii właściciela - ich ilość i jakość - potwier-





Piękno zimowej scenerii i warunki dla muflona wymarzone



Już nie pamiętamy takich zim



Zagroda ruszyła, podstawowy kierdel dotarł z Czech



Wiosna i pierwszy przychówek już jest



Kolejny rok i coraz ciasniej w zagrodzie



4 letni tryk po rekordziście świata wygląda imponująco

dziło to co zobaczyliśmy w terenie.

Ustaliliśmy termin zakupu i odbioru pierwszej partii. Z uwagi na usytuowanie zagrody wysoko w górach i sposób odłowu - bez usypiania zwierzyny - ustaliliśmy, że najlepszym terminem odłowu będzie zima, przełom stycznia i lutego, wtedy najłatwiej będzie sprowadzić do odłowni cały kierdel. Zaplanowaliśmy odebrać 3 tryki w różnym wieku i około 10 zapłodnionych owiec.





Przygotowania do pierwszego wsiadlenia, zagroda otwarta



Cała komisja obserwuje ten historyczny moment zasiedlenia Jury muflonem



Pierwszy dzień wolności



Nowe pastwisko, ale bezpiecznie w pobliżu domostwa



Ostatnie spojrzenie i życzenia powodzenia na Jurze

Po powrocie do kraju przystąpiliśmy do budowy zagrody w terenie górzystym i skalistym, o wielkości około 2,5 ha, plus zagroda techniczna do odłowów. Ogrodzenie wykonaliśmy z siatki stalowej typu Ursus, o wysokości 2 m, wzmacnianej na węzłach. Zastosowaliśmy słupki wykonane z rubini akacjowej, wkopywane co 3 m i zabetonowane na około 70 cm. Siatka została wkopana na głębokość ok

40 cm i zakotwiona tak aby utrudnić podkop. Ogrodzenie podwyższono za pomocą żerdzi do wysokości 2,60 m. Po stronie wewnętrznej zamontowany został pastuch elektryczny z trzema poziomami drutów. Wszystkie zabiegi miały na celu uniemożliwić wtargnięcie drapieżników z zewnątrz. Okazało się to słusznym posunięciem, albowiem po pewnym czasie pastuch przestał działać i pewnego ranka na teren zagrody wdarły się psy, które rozszar-





pały trzy owce i trzy młode. W zagrodzie zostały postawione paśniki, lizawki, wykopano sadzawkę na wodę oraz posadzono kilkadziesiąt drzew w osłonkach, aby zapobiec przed zgryzaniem.

W połowie października dostałem informację, że w zagrodzie - odłowni w Czechach złapano dwa tryki, rocznego i ładnego 4 letniego, potomka tryka, którego ślimy zostały wycenione na ponad 248 pkt - rekord świata. Oczywiście odebraliśmy je i wieczorem były już u nas w części przystosowanej do odłowów, bez elektrycznego zabezpieczenia. Na czas transportu większemu trykowi podano środek uspakajający, po wypuszczeniu z klatki transportowej zachowywał się spokojnie. Rano podeszliśmy do zwierząt, aby sprawdzić ich zachowanie. Stały spokojnie, podeszły do wody, napiły się i pobrały owies. Nagle stary tryk zaczął zachowywać się agresywnie, podskoczył na wysokość około 2 m i uderzył ślimami w metalową bramę. Powtórzył ten spektakl jeszcze dwa razy. Wydawało się, że tryk się uspokoił, gdy nagle ponownie zaatakował, tym razem siatkę, dwukrotnie w nią uderzył, rozerwał druty, wykonał skok w otwór w siatce i pełny sprint w kierunku leśnej wolności.

Tyle go widzieliśmy. Działo się to tak szybko, że wywołało u nas totalne zdziwienie i zaskoczenie. Minęło kilka tygodni, ale nikt nie widział tryka ani nawet jego tropu.

Pomyślałem wtedy, że natura i instynkt są silniejsze niż świadomość wolności. Jest połowa października, czyli okres rui muflonów, zatem naszemu trykowi potrzebna będzie owca. Zadzwoniłem do kolegi Jana Deląga z Cieszyna, znanego specjalisty w dziedzinie hodowli muflona i daniela. Jan stanął na wysokości zadania i w przeciągu trzech dni trzy piękne owieczki pojawiły się w naszej zagrodzie.

Nie minął tydzień a nasz tryk pojawił się przed ogrodzeniem zagrody i szukał sposobu dostania się do środka, do owiec. Oczywiście ułatwiliśmy mu to zadanie.

Gdy po wejściu do środka zorientował się, że znów jest zamknięty, natychmiast przystąpił do ataku na ogrodzenie. Ale tu przywitał go „elektryczny pastuch” i skutecznie ostudził jego agresywny temperament. Ponadto instynkt reprodukcji był w tym momencie zdecydowanie silniejszy od instynktu wolności.

W lutym dostaliśmy informacje z Czech, że w odłowni jest kilkanaście muflonów i możemy po nie przyjechać. Tym razem transport do zagrody i wpuszczenie odbyło się bez niespodzianek, kierdel połączył się pokojowo z muflonami przebywającymi w naszej zagrodzie. W kwietniu przyszło na świat 11 młodych i to była już pokaźna grupa licząca 25 sztuk.

Pierwszy rok to poznawanie zwyczajów, zabiegi weterynaryjne, nawet takie jak wyłapywanie owiec, którym porosły nadmiernie racice - obcinaliśmy je nożycami do blachy. W kolejnym roku prowadziliśmy wiele badań i zabiegów hodowlanych w celu uniknięcia upadków jagniąt, obserwowaliśmy nakładanie ślimów przez tryki, analizowaliśmy wpływ początkowej formy ślimów na późniejsze uformowanie rozłogi i skrętu, chodziło o to aby nie dochodziło do wrastania końców ślimów w kark zwierzęcia. Organizowaliśmy wiele spotkań z lekarzami weterynarii, z pracownikami z SGGW, z Jurkiem Smogorzewskim, Tadeuszem Jakubowskim, przeprowadzaliśmy badania w laboratoriach inspekcji weterynaryjnej w Katowicach. Wszystko w kontekście prawidłowego zasiedlenia muflona na terenie Jury.

Po dwóch latach hodowli w zagrodzie przeprowadziliśmy pierwsze wsiedlenia muflonów do łowisk, jeden tryk i pięć owiec z młodymi. I tak postępowaliśmy przez 7 lat. Ostat-





nie wsiedlenie wykonano w 2012 roku i nastąpiło zamknięcie zagrody. Muflon został wpisany do wieloletniego planu hodowlanego na terenie Nadleśnictwa Złoty Potok. Koło Łowieckie „Knieja”, na którego terenie muflon najlepiej się czuje i przebywa, wprowadziło go jako gatunek łowny objęty planem odstrzału.

Głównym problemem i zagrożeniem jaki spotyka muflon na wolności to oczywiście kłusownictwo, we wnykach znajdowaliśmy przez cały rok padłe sztuki, psy zagryzały nam owce na naszych oczach. Raz udało się ustalić właściciela psa, który pod samą zagrodą zagryzł dwie owce i jagnię w trakcie narodzin. Po dochodzeniu sąd w Częstochowie skazał go na grzywnę w wysokości jedynie 300 zł.

Największe zagrożenie dla owiec i ich młodych występuje w okresie od kwietnia do sierpnia. W trakcie ataku psów czy innych drapieżników, owca zostawia młode i idzie wprost na swojego oprawcę, z premedytacją oddając życie w celu ochrony potomstwa.

Zimowe dokarmianie w czasie bardzo ciężkiej zimy w górach, patrolowanie terenu i zbieranie rozstawionych sideł, boje z właścicielami psów aby trzymali je na uwięzi i wiele innych czynności, to setki przepracowanych godzin i tysiące przejechanych kilometrów, prac wykonanych przez członków Koła Łowieckiego „Knieja” w Złotym Potoku, a szczególnie przez łowczego Roberta Gęsiarza. Również koledzy z sąsiedniego Koła Łowieckiego „Jeleń” w Będzinie pomagali od samego początku przy budowie zagrody, wsiedlaniu, dokarmianiu zimowym oraz ochronie czynnej w łowisku. Jediną zapłatą za ten trud jest satysfakcja, że dziś muflon znakomicie zaadoptował się w łowisku, jest w dobrej kondycji i wzbogaca tutejszą przyrodę.

Jest też satysfakcja i duma łowiecka z pozyskanych trofeów, a są one naprawdę niezwykle okazałe, kilka złotomedalowych, zbliżonych do rekordu Polski.

Mimo, że w tutejszych lasach wilki nie są rzadkością, pojawia się także szakal złocisty, to



Niestety oprawca nie zna litości, jagnię ginie na oczach matki

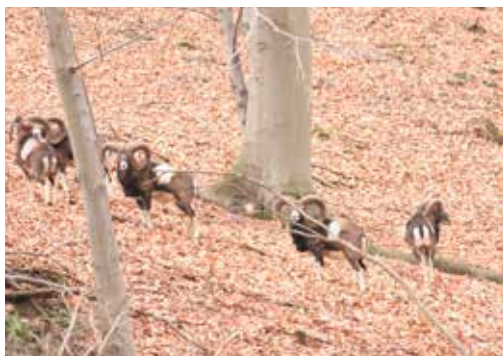


Pierwszy dramat, matka oddaje świadomie życie w obronie potomstwa



Pościg i bestia zostaje namierzona wraz z jej właścicielem, co z tego...





Przygotowania do pierwszego wsiadania, zagroda otwarta



Tu przeciwników godnych mistrza nie brakuje



Zimowa szata zdobi i dodaje szyku



Jest i pierwszy rycerz, zwycięstwo w każdym pojedynku

stan muflona jest zadowalający a spotykane kierdle liczą nawet po kilkadziesiąt sztuk.

Szkody wyrządzane przez muflony w lasach i uprawach rolnych są w porównaniu z dzikiem czy jeleniem niewielkie.

Patrząc na stan obecny muflona, jego kondycję i oddziaływanie na środowisko, jestem pewien, że zwierzę ten wzbogacił region i przyrodę, na stałe wpisując się w krajobraz Jury.

Występujący w innych regionach problem wrastania ślimków w karki dorosłych tryków nie został tu zaobserwowany. Ślimy dorosłego tryka charakteryzują się w naszej populacji dużą rozległą dochodzącą do ponad 60 cm i grubością do 36 cm.

Regularne karbowanie i ciemno brązowa barwa to dodatkowy atut tego trofeum.

Sukces każdej hodowli tkwi w zaspokojeniu nie tylko podstawowych wymagań, ale również dostarczenie w pokarmie takich składników, które występują w naturze przy bogatych siedliskach. Zapewnienie w łowisku odpowiednich środków pokarmowych i odpowiedniej jakości soli, z zawartością selenu, żelaza, potasu, magnezu, miedzi, cynku, kobaltu i jodu, to podstawa żywieniowa. Organizm owiec a szczególnie młodych tryków do 8 miesiąca życia, jest wrażliwy na zakłócenie równowagi kwasowo-zasadowej, czyli właści-





Może nowy rekord świata



Następcy godni rosną, ale ulubiona łączka jest najmilsza

wego bilansu kationowo-anionowego.

Również w okresie poporodowym skuteczne jest podawanie soli kwaśnych (sól gorzka), bogatych w chlorek wapnia z siarczanem magnezu. Są to dawki potrzebne do prawidłowego działania mięśni szkieletu i układu nerwowego. Prawidłowy bilans odżywczy to nie tylko takie składniki jak energia, białko i włókno, ale dostarczanie mikro i makroelementów. Ma to ogromny wpływ na prawidłowy proces wzrostu i odporności.

Każdy gatunek ma prawo do życia w naturze, której i my jesteśmy jakąś częścią. Mamy





prawo w sposób humanitarny i etyczny, zachowując równowagę i bioróżnorodność, być świadomym użytkownikiem zasobów przyrody, jednocześnie pamiętając o zachowaniu dziedzictwa narodowego i pozostawieniu następnym pokoleniom tego wszystkiego co nam przekazano.





„PEDRO” - WSPOMNIENIE

Jedziemy do Wołczyn z „Pedrem” w ostatnią jego podróż. Pedro uspokojony na zawsze, już nie czuje żadnego bólu i strachu, który towarzyszył mu przez ostatnie dwa miesiące wyniszczającej i okrutnej choroby. Łzy płyną wolno po policzkach, dusza wyje z bólu i żalu, a umysł rozsadza niewyobrażalnie przygnębiający smutek.

Smutek, żal i przygnębienie miotają myślami i przywołują obrazy tych wspólnie przeżytych 13-tu lat. Zaczynamy zdawać sobie sprawę ile przez te wszystkie lata ten niewielki, czarny piesek dla nas znaczył, ile wspaniałych chwil dzięki niemu przeżyliśmy, jak bardzo zmienił i ubarwił nasze życie, jak był nam bliski i oddany i jak bardzo teraz nam go brakuje.



*Henryk Krzysztof
Chwaliński*



A teraz leży sobie spokojnie, pochowany koło naszego wołczyńskiego domu, nieopodal młodego dębu, pod parasolem smukłych, strzelistych sosen, które kołysząc się nad nim grają mu leśne, łowieckie epitafium.

„Pedro” był silnym i wytrzymałym, doskonale umięśnionym psem rasy gończy polski. Posiadał typową dla gończaków inteligencję, nieustępliwość i odwagę. Szczególnie wyróżniał się siłą charakteru i ogromną wrodzoną niezależnością, która często występuje u ras pierwotnych, a gończy polski do nich należy.

Ta niezależność czasem bywała kłopotliwa – zwłaszcza przy układaniu. Gończy jest bowiem o wiele mniej „plastyczny” od np. wyżła i tak łatwo nie poddaje się woli i poleceniom menera. Czasem temperament i pasja bywają silniejsze od karności i bezwzględnego posłuszeństwa. Taki też był „Pedro” – zdecydowanie bronił swojej pozycji, uznawał tylko jednego pana – przewodnika, przez całe życie uważał, że w naszym „rodzinnym stadzie” jest „numerem dwa”. Nikomu oprócz mnie nie pozwalał zbliżyć się do zwierzyny, którą znalazł. Nie pozwolił dotknąć mojej broni, nie wpuścił obcego do samochodu. W kontaktach z innymi psami, zwłaszcza większymi od niego, trzeba było go mocno i ostro kontrolować. Atakował dzika odważnie i sprytnie, jednocześnie nie popadając w brawurę, dzięki czemu nigdy nie był poturbowany przez czarnego zwierza. Wytrwale i skutecznie pracował na ścieżkach tropowych dochodząc bezbłędnie wszystkie możliwe do dojścia, ubite sztuki zwierzyny. Gdy był młodym psiakiem startowałem z nim w siedmiu konkursach dzikarzy i tropowców. W sześciu z nich zdobywał dyplomy pierwszego stopnia plasując się zawsze w pierwszej trójce zawodów.





Uczył się błyskawicznie i tak też zapamiętywał wszelkie komendy i polecenia. Bezbłędnie kojarzył sytuacje, fakty i okoliczności zdarzeń. Typowe elementy tzw. podstawowego apelu psa chwycił w lot i jeśli tylko zrozumiał o co chodzi, to już po kilku, kilkunastu powtórzeniach wykonywał je bezbłędnie. Chodzenia przy nodze nauczyłem go w 20 minut, powtarzając kilkakrotnie spacer na luźnej kolczatce, na około 100 metrowych odcinkach. Konkurencji „odłożenia”, która jako jedna z podstawowych występuje w konkursach tropowców, nauczył „Pedra” w jedno popołudnie Piotrek Zając – mój nieodżałowanej pamięci serdeczny kolega, znany i znakomity polski kynolog, sędzia kynologiczny, hodowca i wychowawca psów, wytrawny myśliwy. Był on autentycznie mistrzem w swoim fachu, ale mimo to nauczenie psa w tak krótkim czasie tak trudnego zadania, jakim jest prawidłowe „odłożenie”, było zadaniem wymagającym nieprzeciętnego kunsztu zarówno u nauczyciela jak i ucznia. Potem tę umiejętność już tylko ćwicziliśmy i utrwalaliśmy.

Gończe polskie to piękne, miłe i towarzyskie psy, których nie sposób nie lubić a nawet kochać, ale przede wszystkim to niezwykle dzielne, skuteczne i inteligentne psy myśliwskie. Z podziwem i radością można obserwować pracę gończego w dziczej zagrodzie, jak oszczekuje i osacza dzika, stara się go „stanowić” i potem rusza za nim w gon, z przyjemnością patrzy się jak pies ten cierpliwie i dokładnie „punktuje” ścieżkę tropową podążając za śladem rannej zwierzyny, jak kapitalnie osacza dziki w miocie i wypycha je na linię myśliwych. Ale największą radością dla oka i ucha wytrawnego łowcy kochającego łowy z psem, jest widok gończego pędzącego i grającego w gonie.

Gdy przymknę oczy przywołuję obrazy „Pedra” spełniającego swoje łowieckie pasje: gończy w biegu, gończy w gonie, gończy w zapamiętałym szale łowieckiej pasji, który nie widzi nic, nie czuje nic, nie słyszy nic, który gnany jest niewyobrażalną pasją i pierwotnym instynktem natury. Instynktem, który nakazuje mu gonić zwierza i głosić ten fakt otaczającemu go światu. Napięty do granic wytrzymałości każdy miesiąc, wzrok skupiony, wpatrzony w ofiarę i głos wydobywający z serca i z wnętrza trzewi niezwykłą paletę nieprawdopodobnych doznań i emocji – od niepewności, zachwyty, chępliwości, żądzy krwi, po nutę tryumfu, zwycięstwa i spełnienia. Głos za każdym razem inny, raz wysoki, piskliwy, skamlący, innym razie gardłowy, przerywany i zaczepny, który dławi się gdzieś w krtani w trakcie gonu, a czasem jeszcze niski, basowy, agresywny i groźny. Głos, który zmienia swą barwę, natężenie, częstotliwość i wysokość w zależności od sposobu i miejsca polowania i gatunku gonionego zwierza. I wreszcie na koniec radość, ekstaza, spełnienie i ten wzrok pełen oddania i pokory skierowany do swego pana- przyjaciela i przewodnika, którego kocha miłością szaleńczą, bezgraniczną i ślepą, niewymagającą żadnych rekompensat i wdzięczności. Wystarczy lekkie, czułe pogłaskanie kufy, poklepanie po karku i spokojny pomruk – „dooobry pies”.

Robert Gawliński z zespołu „Wilki” w piosence „Baśka” śpiewał kiedyś o zachwycie i fascynacji jakie wzbudzały w nim znajome dziewczyny i przyjaciółki, które gdzieś przewinęły się w jego życiu. W refrenie tejże piosenki nucił, że były „piękne jak okręt pod pełnymi żaglami, jak konie w galopie i niebo nad nami”. Gdyby Robert Gawliński widział i słyszał kiedykolwiek psa gończego w gonie, pełnym galopie, jak płynie i unosi się nad ziemią w kilkumetrowych susach, jak ledwo dotykając ziemi wydobywa z siebie niesamowitą gamę różnorodnych





dźwięków i gra niepowtarzalną melodię, to zapewne ten fakt odnotowałyby również w refrenie swojej piosenki.

„Pedro” z wiekiem coraz bardziej się do nas zbliżał. Relacje pomiędzy mną, Małgosią i „Pedrem” zacieśniały się, coraz mocniej wychodziły poza zwyczajowe ramy na linii zwierzę – pies - człowiek. One niestety, albo na szczęście, bardzo się spersonifikowały czyli „uczłowieczyły”, a „Pedro” przestał być traktowany jako „pies-przyjaciel” ale jako „przyjaciel- członek rodziny”.

Kochał nas miłością ludzką i był po ludzku zazdrosny. Gdy przytulałem Małgosię to skomlał, irytował się, wkładał pysk między nasze głowy i odpychał Małgosię, jakby chcąc zachować moją miłość wyłącznie dla siebie. Podobnie gdy w trakcie dnia odpoczywałem na tapczanie, on kładł się przy moich nogach i nikomu nie pozwalał się do mnie zbliżyć. A gdy przypadkiem odpoczywałem po uprzednim wprowadzeniu do organizmu „elementu bajkowego”, to „Pedro” wychodząc z założenia, że zapewne jestem „lekkoniedysponowany” i nie mogę się bronić, sam postanawiał brać to zadanie na swoje barki. A potrafił być naprawdę groźny i czasem nie żartował, ale jednocześnie był czuły i czasami bezradny. Zaciekle gonił koty, walczył i dławił drapieżniki stawiając czoło nawet potężnym borsukom, atakował (na szczęście bezskutecznie) bobry, ale gdy kiedyś mały kotek, którego gonił, spadł mu z drzewa prosto w pysk, to tylko poszturczał go nosem, lekko się zdziwił i popatrzył filuternie jak ten zmyka na następne drzewo.



Zwykle to człowiek uczy i szkoli psa oraz kształtuje jego charakter i osobowość. Ale od psa też można się wielu rzeczy nauczyć, jeśli tylko potrafi się go zrozumieć i chce się dostrzec to, co ma do przekazania. A „Pedro” przekazywał nam swoją miłość, oddanie, troskę, uczył pokory, cierpliwości, wyrozumiałości i empatii, rozumnego „psiego postrzegania świata”. Dał nam mnóstwo przeżyć, wzruszeń i radości, łagodził konflikty i spory, wysyłał dobre fluidy i pozytywną energię. Przeżyliśmy z nim i Małgosią wspaniały okres jesieni naszego życia, złotej jesieni.

Nie zdawałem sobie sprawy, że z pozoru tak prozaične i normalnie występujące zdarzenie jak odejście psa, nawet wyjątkowo kochanego, może wywołać w człowieku tak wielką falę smutku, żalu i bólu, a w efekcie finalnym depresyjnego przygnębienia. Oczywistym antidotum na tę okoliczność wydają się być upływający czas, choć myślę, że będzie to jedynie namiastka ukojenia.

Odszedł od nas „Pedro” – pies mądry, dumny, niezależny i piękny, pies o niezwykle silnym charakterze, odwadze graniczącej z brawurą, pies który nie poddawał się żadnym regułom i zasadom, pies, który kochał nas całym sobą, a my kochaliśmy go całym sercem. Bardzo nam go brakuje!

30 kwietnia 2020 roku



MEDALOWY BYK

Tym razem poranny wyjazd do łowiska zaplanowałem ze wszelkimi szczegółami. Nic nie mogło zaburzyć spotkania z wymarzonym bykiem. Byłem co dzień w łowisku od przeszło tygodnia, oglądałem różne byki, nawet takie co to nie dają spać po nocach, jednak wycze-kiwanej sytuacji na oddanie skutecznego strzału... nie było. Tym bar-dziej, że każdy wyjazd na rykowisko przepełniony jest pewną tajemni-czą atmosferą i potrzebą ciągłego pochłaniania niezaspokojonej żądzy doznań przyrodniczego misterium. Misterium przepojonego jelenim rykiem, w scenerii gęstych mgieł wiszących nisko nad podmokłymi łąkami, po których przesuwają się sylwetki smukłych łań pilnowane przez swego pana i władcę kniei. Takie widoki zapadają głęboko w pa-mięć i powracają w myślach i wspomnieniach z naszych łowisk.



*Tomasz Hubert
Marcinkowski*

Jak na złość budzik w telefonie nie zagrał dźwięku pobudki. Jak się okazało nastawio-ny był na dni powszednie, a dziś zaczyna się weekend, stąd ta niezgodność w ustawieniach i utracone 25 minut z rozkładu dnia myśliwskiego. Po drodze jeszcze przymusowy postój pod Bobrownikami, gdzie wojsko z „Twierdzy” w Dęblinie właśnie dzisiaj przy moście rozwijało swój sprzęt saperski. Znow kolejny stracony cenny czas z porannego polowania. Wysiadłem z pickupa obserwując manewry wojskowe, które wstrzymały tylko moje auto jadące o tak wczesnej porze na drugą stronę Wieprza. W końcu ostatni ponton z wojskiem zjechał do rzeki i żołnierz z pomalowaną w barwy ochronne twarzą pozwolił na dalszą jazdę. Chyba też myśli-wy, bo z uśmiechem od ucha do ucha machnął dłonią i zawołał - Darz Bór kolego. Wszystko tego ranka jakoś mi nie sprzyjało, nawet moja gończa polska Fanka, która zawsze przy skła-daniu ekwipunku łowieckiego kręci się blisko samochodu, dziś pozwoliła sobie na dłuższą wycieczkę w pobliskie zarośla, by w końcu po kilku gwizdkach i kilku minutach oczekiwania wskoczyć na pakę auta.

Mogę rozpocząć podchód, lecz niestety jest już zupełnie widno, a w miejscu do którego zmierzam, na dobre rozbrzmiewa jeleni koncert. Słychać jak na podmokłej łące, przy której stoi stara ambona, pogrywa kilka jeleni, w tym jeden zacny „gość”. Idę starą groblą porośnie-tą wiklinami. Wikliny po obu stronach grobli tworzą długi szpaler z przerwami zakrzaczeń, przez które mogę oglądać rozległy szuwar, aż do lasu. Idę dość szybko i nieostrożnie, ale chcę jak najszybciej dotrzeć do końca grobli, by zobaczyć to niezwykle zjawisko jelenich godów. Po drodze niespodziewanie wypłaszam młodego chłysta, który zrywa się do ucieczki kilkanaście metrów przede mną. Byczek odskakuje w bok zatrzymując się po około sześćdziesięciu me-trach, zdziwiony zerka raz na mnie, a raz w stronę celu mojej marszruty, skąd dochodzą od-głosy samczych przepychanek. Jeszcze sto pięćdziesiąt metrów i jestem przy ambonie. Ostroż-nie wdrapuję się na górę po zmurszałej drabinie. Mgła na łąkach jest zdecydowanie gęstsza, przesuwa się pod olszyny, z prawej strony widać trzy łanie, dalej w otchłani olszyn między wiklinami odzywają się byki. Poranna mgła ściele się dokoła, raz się nasila, po chwili rzadnieje.





Chłyst, który przed chwilą zszedł mi z drogi, ponownie stoi za moimi plecami z wietrznikiem wyciągniętym w stronę kępy olszyn, zahipnotyzowany odwiatrem, całkowicie mnie ignoruje. Tuż przed amboną rozpościera się wąski, ale wysoki szuwar, za nim olszyna i właśnie tam dziś rozgrywa się szczyt porannego rykowiska. Wyjmuję tubę ze spreparowanego kłacza barszczu Sosnowskiego i wabię trochę nieśmiało, z racji zadyszki po wspinaczkę po drabinie i emocji, które przeszywają mnie na wylot. Nagle słyszę jak ciężki byk sady wprost przez szuwar w moją stronę. Lornetka do oczu i widzę potężny wieniec osiemnastaka tuż nad szuwarem. Byk zatrzymuje się nagle, świece wlepia w ambonę, przeciągle wietrzy, filtrując odwiatr. Odległość nie większa jak 80 metrów, wiatr cały czas mam korzystny, nie zdradzi mojej pozycji. Wypuszczona z ręki lornetka opada na pasku. W momencie sięgania po sztucer, słyszę jakiś hałas na ścianie olszyny, co bardzo niepokoi i złości byka. W jednym susie wykonuje zwrot w stronę olszyn, goniąc po chaszczach jakiegoś natręta. Porykiwania i wywoływania do walki cały czas rozlegają się dokoła. Mgła opada dając lepszy pogląd na sytuację w terenie. W pewnym momencie znowu słyszę hałas w olszynach i widzę jak byk, którego widziałem przed chwilą goni łąnię. Ta uchodząc wyskakuje na łąkę i staje tuż przy rozległym krzaku wikliny. Osiemnastak jest bezpośrednio za nią. Tęga, przygarbiona sylwetka i okazały wieniec dają sygnał do działania. Dociskam mocno sztucer łapiąc cel w lunecie. Odległość około 170 metrów, byk ustawiony na kulawy szych. Pomimo stanowiska na ambonie nie mam dobrej podpory pod prawy łokieć. Wychylam się całkowicie przez okno ambony, zapieram łokieć o podstawę dachu i teraz widzę całego byka. Jeszcze czekam, aby dał połów, na pewno nie będę strzelał na tył... przecież byk musi w końcu zmienić pozycję. Nareszcie rusza odchylając się w lewo, co jest sygnałem do naciśnięcia spustu. Huk wystrzału przeszywa powietrze. Jeszcze przez ułamek sekundy widzę jak rusza do przodu znikając pomiędzy wiklinami z pola widzenia. Emocje opadają, ale jeszcze niezupełnie. Wracam do samochodu po psa, nie mam pewności czy byk przyjął kulę, mógł też ruszyć w trakcie ściągania spustu. Dobrze, że mam zawsze ze sobą Fankę, moją gończą polską, która zna się na robocie tropowej i niejedną raz ratowała myśliwych z podobnej opresji.

Fanka powoli nawietrza odwiatr pozostawiony przez jelenie, prowadzi selekcję tropów, po czym rusza pewnie w stronę wyjścia byka, zawraca i idzie dalej między zakrzaczenia. Nie mam pojęcia gdzie ruszył po strzale byk, a gdzie odbiła stojąca obok łąnia, ale wydaje się że pies prowadzi dobrze, cały czas niesie nos nad sitowiem kłapiąc przy tym faflami. Po kilkudziesięciu metrach skręca lekko w lewo zataczając łuk, zaczyna mocniej ciągnąć popiskując. Oznacza to, że zwierz jest już w jej zasięgu. Odpinam otok i widzę jak suka znika między wiklinami, a po chwili zaczyna głośić zwierza w jednym miejscu. Przygotowuję sztucer do strzału i staram się powoli podchodzić, jednak słysząc gardłowy oszczek towarzyszący szarpaniu sukni, wiem, że jeleni już doszedł. Podchodzę do zwierza i z niedowierzaniem dotykam jego wieńca, jest to osiemnastak nieregularny obustronnie koronny, którego komisja wyceny trofeów łowieckich w Lublinie wyceniła na 204,44 CIC - srebrny medal. Wiek byka oszacowano na 11 lat. Dzisiejsze łowy od samego początku nie zapowiadały nic dobrego, po wszelkich porannych przeciwnościach nie pomyślałbym, że wyjście to zakończy się sukcesem z medalowym trofeum na koncie. Jednak nigdy do końca nie wiadomo, jaką przygodę w kniei święty Hubert dla nas szykuje.

Obłapy koło Gołębia, wrzesień 2017 roku



POLOWANIE Z GOŃCZYM POLSKIM NA ZAJĄCE W ROSJI

W Polsce nie polujemy już z gończyymi na zająca. Jednak za wschodnią granicą takie polowania cieszą się ogromną popularnością. W polowaniach tych uczestniczą nasze gończe polskie. U naszego wschodniego sąsiada w Rosji organizowane są konkursy pracy tych psów. Ocenie podlegają ich wrodzone cechy użytkowe: węch, głos i wytrzymałość w gonie.

Gończy polski zdobywa coraz większą popularność i uznanie nie tylko w Polsce, ale również poza granicami naszego kraju, świadczą o tym liczne pozytywne komentarze dotyczące pracy naszych gończaków, nadsyłane z całej Europy. W Niemczech powstał Klub Gończych Polskich Polnischen Jagdhunde Club, utworzony przez hodowców, właścicieli oraz przyjaciół i miłośników rasy gończy polski, co w znacznej mierze przyczynia się do popularyzacji tej rasy wśród myśliwych z zachodu Europy. Z kolei na Wschodzie, dokładnie 25 lutego 2015 roku, gończy polski został wpisany do oficjalnego rejestru prowadzonego przez Związek Myśliwsko-Wędkarski Rosji „Росохотрыболовсоюз”. Rejestr ten stworzony jest na potrzeby rozwoju hodowli użytkowych psów myśliwskich na terenie całej Federacji Rosyjskiej. Wpis taki stał się możliwy dzięki 2,5 rocznym staraniom Jevgienija Jan-kovskiego - Litwina na stałe mieszkającego w Moskwie, właściciela dwóch gończych polskich, Fagota z Krainy Łowów oraz Kory Verum Sanguis. Zapalonego myśliwego, miłośnika łowów z gończyymi polskimi, zwłaszcza na zająca, który jako pierwszy sprowadził gończe polskie do Rosji. Uzyskanie wpisu w rejestrze nie było łatwe. Wiązało się z prezentacją gończego polskiego na konkursach pracy oraz wystawach eksterieru, przedstawieniem komisji szeregu zaświadczeń, wyjaśnień i tłumaczeń wzorca FCI na język rosyjski. W Rosji gończe mogą brać udział w konkursach - „ispytaniach” pracy dzikarzy, pracy tropowej oraz pracy na zającu i lisie w gonie. Praca na zającu jest dla myśliwych ze Wschodu najwyższym kunsztem umiejętności oraz sprawdzianem wrodzonych cech użytkowych psów. Sprawdzane są predyspozycje węchowe oraz głos, który premiovany jest w czterech oddzielnych ocenach. Sprawdzian rozpoczyna się dość wcześnie, około godziny 500 rano. Trzyosobowy zespół sędziów w ciągu całego dnia ocenia maksymalnie trzy startujące psy. W otwartym terenie, zgodnie z wylosowanym wcześniej numerem startowym, wypuszczany jest na komendę pierwszy pies. Ma on 60 minut na odnalezienie zająca, co sygnalizuje donośnym naszczekiwaniem ciepłego zajęczego tropu. Jeżeli w 60 minutowym czasie nie odnajdzie szaraka jest wycofywany z oceną „0”, po czym do zadania przystępuje pies z numerem drugim. Z chwilą dania głosu przez psa sędzia uruchamia stoper, wtedy rozpoczyna się praca oceniana w przeciągu 60 minut. Zając w ucieczce stara się zgubić swego prześladowcę. Zapach na śladzie przekazywany jest tylko z podeszwy zajęczych skoków. Umykając szarak kluczy, robi koła wchodząc ponownie na swój trop, po czym odskakuje w bok na 3-5 metrów robiąc tzw. kominek, tym samym urywa ślad. Takie charakterystyczne, naturalne zachowanie gonionego zająca, myśliwi wykorzystują podczas polowania. Zając prowadzony w gonie przez psa zawsze



*Tomasz Hubert
Marcinkowski*





powraca na swój poprzedni trop nawet dwa, trzy razy, robiąc tzw. dwójki i trójki, wtedy jest okazja do oddania skutecznego strzału. Zdarza się, że nawet po niecelnym strzale, myśliwy może liczyć na ponowną sytuację strzelecką w kolejnej pętli zwodniczego zajęczego śladu, mającego zgubić psa. Ważne jest, aby pies był na tyle zapalczywy i wytrzymały, by cały czas gonem prowadzić uciekiniera. Konkurs polega głównie na nasłuchiwanie, jak również obserwacji psa i zająca w sytuacji, kiedy warunki terenowe na to pozwolą. Pies gubiący ślad milknie, wtedy stoper jest wyłączany, co odnotowuje się w protokole oceny, z chwilą gdy ponownie słychać granie, stoper rusza dalej. Pies powinien trzymać się cały czas tego samego ciepłego tropu, nawet gdy w pogoni podniesie z kotliny innego zająca. Musi podążać dalej za pierwszym tropem, kierując się nosem, a nie okiem. Dopuszcza się zejście z tropu tylko w przypadku podniesienia lisa, jako zwierza bardziej pożądanego łowiecko przez myśliwych. Podstawowym czynnikiem do oceny pracy jest czas gonu po ciepłym tropie. Jeżeli w ciągu 60 minut suma czasu w gonie wynosi:

- 33 min. - pies otrzymuje dyplom III stopnia,
- 39 min. - pies otrzymuje dyplom II stopnia,
- 45 min. - pies otrzymuje dyplom I stopnia.

Statystycznie najsłabsze psy tracą trop w 19-25 minucie i więcej już go nie podejmują. Rojsyjscy sędziowie mówią, że po 25 minutach zając jest już rozgrzany i zostawia nie tylko ciepły, ale gorący trop. Świadczy o tym wyższy i bardziej charakterystyczny, śpiewny, cukrowy dźwięk w gonie wydawany przez psa, który podejmuje ponownie taki ślad. Dodatkowo sędziowie podczas konkursu oceniają: barwę głosu, melodyjność, donośność głosu - głośność, wytrzymałość głosu, szybkość w biegu i trzymanie tropu - wiatr.

Jak można zauważyć, cztery z sześciu premiowanych w konkursie ocen, dotyczą głosu wydawanego przez psa podczas gonu, co znacząco wpływa na końcową punktację.

W pracy na zającu preferowane są mocne, wysokie gończe o bardzo dobrym nosie i pięknym melodyjnym głosie. Myśliwi ze Wschodu twierdzą, że gończy, który potrafi pracować na zającu, posiada najlepsze predyspozycje węchowe, czyli najwyższy stopień łowieckiej sztuki tropienia. Taki pies sprawdzi się w każdym innym tropowym zadaniu. Uchodzący zając zostawia niewielkie cząstki zapachowe na swym śladzie, przy czym klucząc myli trop, co wymaga dużo większej wrażliwości nosa oraz inteligencji od gończego. Nie trudno sobie wyobrazić co znaczy odwiatr dzika czy jelenia, wyczuwalny nawet dla człowieka, w porównaniu z odciskiem niewielkiej podeszwy skoku szybkiego i sprytnego szaraka. Prawdą jest, że w Polsce nie polujemy już z gończymi na zająca, a nawet podczas szkolenia hamujemy takie zapędy naszych gończych. Cieszy jednak fakt, że myśliwi ze Wschodu odnaleźli i potrafią wydobyć z gończego polskiego wrodzone cechy i zdolności do zajęczych łowów, o których pisał już w XVI wieku hr. Jan Ostro-róg - wojewoda poznański: „*Gońca jest pies wietrzny, który popędzone zwierzę goni ze wszystkiego skoku, poty póki może albo on gonić, albo zwierzę uciekać... Więc ma gońca, możnali, mieć z to rozumu, żeby na gęstym zającu znał truda, żeby co raz świeżego nie gonił. Który ma to w sobie, prędko i sam jeden zająca ugoni.*”

Polowania z gończymi pojawiły się na terenach Polski wraz z innymi obyczajami dworu francuskiego. Do Rosji psy gończe trafiły z ziem polskich, głównie w XVIII wieku. Na początku przywozili je oficerowie polskiego pochodzenia, służący w carskiej armii, później dotarły z wojskami napoleońskimi w 1812 roku, a następnie z polskimi zesłańcami, uczestnikami Powstania Styczniowego 1863 roku. Jak wskazują fakty historyczne oraz sami Rosjanie, to Polacy przekazali im sztukę polowania z gończym na zająca, która do dzisiaj pozostaje jedną z bardziej cenionych form polowania na wschód od Bugu.





PORANEK NA TOKOWISKU

Mieliście szczęście widzieć toki cietrzewi? Nie? Więc posłuchajcie. Początek lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Polesie Lubelskie, okolice wsi Żdzarka i Szczęśniaki.

Na piaszczystym wrzosowisku na Krowim Bagnie stoją budki ustawione nieopodal tokowiska. Jest jeszcze ciemno. Siadam w budce, wsłuchuję się w głosy bagna i sąsiadującego z nim lasu. Gdzieś z oddali dochodzi pohukiwanie sowy. W pobliżu słychać jakieś szmery i popiskiwanie, to pewnie myszy. Czas szybko mija i przez gałęzie budki widzę na wschodzie lekko różowiejące niebo, nad głową jeszcze ciemne, z połyskującymi gwiazdami. Coraz więcej głosów dochodzi z bagna. Świst kaczych skrzydeł. Gdzieś pod kopułą jaśniejącego nieba głos tokującego kszyka „baranka”. Daleko w głębi lasu szczeka rogacz. Kaczor do kaczki odzywa się zalotnie: „dasz, dasz?”. Po chwili kaczka odpowiada: „tak, tak”. Kwilenie czajki i nieśmiały głos skowronka. Robi się szaro i coraz chłodniej. Nad bagnem unosi się lekka mgiełka, na trawach osiada szron.



Stanisław Ostański

Nagle słychać łopot skrzydeł. Przed budką, jeszcze mało widoczny, ląduje cietrzew. Za moment rozlega się ciche czuszykanie i głośniejsze bulgotanie. Znow łopot skrzydeł i ląduje następny kogut, i następny. Na tokowisku robi się tłoczno i gwaro. Koguty walczą ze sobą z opuszczonymi skrzydłami i rozłożonymi lirami ogonów. Widok wspaniały. W międzyczasie przylatują ciecioraki siadając na brzozech i karłowatych sosenkach. Przypatrują się walczącym kogutom. Jest już prawie widno. Nagle zza horyzontu wyskakuje tarcza słońca. Na bagnie wszystko milknie. Milkną też cietrzewie zwrócone w kierunku wschodzącego słońca. Ta chwila to szabas. Cała przyroda oddaje hołd wschodzącemu słońcu.

Po krótkiej chwili wszystko co żyje chwali w głos nowy dzień. Cietrzewie tokują ze wzmocnionym zapalem. Ciecioraki przestępują z nogi na nogę i zaczynają sfruwać na ziemię, ginąc we wrzosach wraz z podążającymi za nimi kogutami. Z bagna dochodzi klangor żurawi. Od strony wsi słychać pianie kogutów, szczekanie psów. Gdzieś skrzypi żuraw ciągnący wodę. Porykuje bydło. Kończy się piękny poranek i niepowtarzalny spektakl jakim są toki cietrzewi.

Spytacie, a gdzie polowanie? Trofeum w postaci cietrzewia? Otóż zrezygnowałem ze strzału. A trofeum to piękne wspomnienie obrazu poranka na bagnie, tokujących cietrzewi i świata którego już nie ma. Ten dzień pozostanie na zawsze w mej pamięci. W tym dniu przysłała na świat moja córka.





Poranek na tokowisku

Tokujące cietrzewie,
Misterium przepiękne.
Teatr wiosny.
Klangoru żurawi
Głosy tęskne...

Słońce za mgiełką
Wschodzące,
Ranek co zwycięża cienie.
Lat dawnych, których nie ma...
Zostało wspomnienie.

11 marca 2011 roku



Stanisław Ostański, „Poranek na tokowisku”, akryl na płótnie, 30x40 cm





Ostatnie toki na Krowim Bagnie

Dwudziestego wieku
Sześćdziesiąte lata.
Minęły tak szybko
Jak by strzelił z bata.

Na poleskim Krowim Bagnie
Wspominam poranek.
Marcowy, może kwietniowy.
I bagno - jeszcze niezmeliorowane.

Ciemno. Tylko na wschodzie
Z lekka niebo różowieje.
I jutrzienka świeci...
Już powoli dnieje.

Puszczyk pohukuje
Gdzieś w boru głębinie.
Nieśmiały głos skowronka
Cicho spod gwiazd płynie.

Kaczek miłośne kwakanie
I czajki kwilenie.
Pod niebem wysoko,
Bekasa beczenie.

Gwiazdy gasną powoli.
Mgła jak welon panny.
W dali klangor żurawi,
Bagien dzwon poranny.

Coraz chłodniej i jaśniej.
Brzózki karłowate, łoży, porudziałe wrzosa.
Przymrozek maluje szronem
Jak czas siwizną włosy.

Nagle łopot skrzydeł.
I z mgły się wyłania
Cietrzew, rycerz czarny
Żądny tokowania.

Z nogi na nogę jak w tańcu
Zgrabnie przestępuje.
Czuszzyka, bulgoce,
Skrzydłami rysuje.





Już następne cietrzewie
Wśród wrzosów lądują.
Rozkładają liry,
W górę podskakują.

Toczą walki koguty
Jak dawni rycerze.
Połyskują pióra,
Jak niegdyś pancerze.

Wtem zza horyzontu
Ze snu słońce wstaje.
Na bagnie wszystko cichnie.
Hołd słońcu oddaje!

Szabas! Cietrzewie ucichły...
Stoją urzeczone,
Promieniami słońca
Jasno oświetlone.

Chwila ciszy...
I już wszystko śpiewa.
Szaropióre cieciorki siedzą
Wokoło na drzewach.

Jak damy średniowieczne
Patrzą na zapasy
Czarnych rycerzyków.
Wokół bagna, lasy.

W oddali rogacz poszczekuje.
Koniec tokowiska.
W dalekiej wsi bydło porykuje.
Psów szczekanie, skrzyp żurawia,

Głosy rozmów. Tak było przed laty...
A teraz martwa cisza.
Tylko warkot ciągnika
Z pól za łąką słychać...

Bagna osuszone,
Zniknęły cietrzewie.
I tylko kruk kracze
Na uschniętym drzewie.

16 marca 2014 roku



Stanisław Ostański, „Tokowisko”, akryl na pilśni, 30x40 cm





„BAZIA”

Było to bardzo dawno, w latach mojego dzieciństwa. Mieszkałem z rodzicami i młodszym bratem w starej gajówce na skraju lasu. Któregoś dnia myśliwi przynieśli do nas kozłátko, czyli małą sarenkę, którą zabrali komuś na wsi. Sarenka była bardzo wycieńczona, zarobaczona, na skórze miała mnóstwo kleszczy i innych pasożytów. Były to czasy kiedy nie było środków dezynfekcyjnych, więc razem z mamą ręcznie oczyściliśmy sarenkę z pasożytów. Pozostała u nas i z pomocą myśliwych, którzy dostarczali leki, sarenka wyzdrowiała i wyrosła na piękną sarnę. Nazwaliśmy ją Bazia. Przyjaźniła się z samą, kotami, drobiem, tylko z kogutem była w ciągłej wojnie. Mając pełną swobodę wychodziła do lasu, nawet na wiele dni. Jednak zawsze wracała.



Stanisław Ostański

Po pewnym czasie przyprowadziła dwójkę swoich dorodnych kozłatek. I tak Bazia raz była w domu a raz w lesie. Nadeszła zima, święta Bożego Narodzenia. Siedliśmy do Wigilii. Za oknem śnieżna zamieć, wycie wiatru. Wtem ktoś puka do drzwi. Tata otwiera, a na progu stoi ośnieżona nasza Bazia. Poważnie podeszła do stołu, położyła łebek przy talerzu dla wędrowca. Tata podał Bazi opłatek, ale Bazia wołała kromkę chleba i tak chlebem podzieliła się z nami. Do końca wieczery stała przy stole, a potem wskoczyła na tapczan, zwinęła się w kłębuszek i zasnęła.

Nadeszła wiosna. Zmieniliśmy miejsce zamieszkania. Bazia pozostała w lesie, który tak dobrze знаła i który tak naprawdę był jej prawdziwym i rzeczywistym domem.

Ot i taka to była historia sarenki Bazi, prawdziwa historia.

A ja nie strzelam do kóz. Powie ktoś fanaberia, romantyzm. Ja jednak uważam inaczej.

Wigilijne wspomnienia

Wspominam wigilię, święta,
Mych dziecięcych lat.
Pamiętam
Jak przez śnieżną zadymkę.

Pod lasem
Przykrytą śniegiem
Starą gajówkę.
Ze świeczkami zieloną choinkę.

Przy lampie naftowej
Wieczere pamiętam.
Przy stole wigilijnym z nami
Oswojona sarenka.





Życzenia, opłatkiem łamanie.
Noc Święta.

Biały obrus na pachnącym
Sianie.
Prezenty pod choinką.
I kolęd śpiewanie.

Drogę na Pasterkę
W śniegu po kolana.
Głos dzwonu co obwieszcza
Światu,
Narodziny Pana.

Świątynię jarzącą woskowymi
Śwecami.
Stajenkę ze źłóbkiem,
Z Jezusikiem leżącym,
Na sianie pachnącym,
Pod strzechą słomianą.

Z Maryją i Józefem,
Z klęczącymi pastuszkami,
Z osiołkiem, wołem,
Z owieczkami.

I gwiazdę betlejemską
Co z ciemnego nieba
Promieniami oświetla stajenkę.
Chór głosów co kolędy
Śpiewa.

Obraz tych wigilii,
Świąt minionych,
Przez przeszłość, czas
Przymglonych.
Przez zadymkę przeszłości
Zaśnieżonych
Dni.
We wspomnieniach
Powraca mi.
W samotną noc.

25 grudnia 2017 roku



Stanisław Ostański, „Wigilijny wieczór”, ołówek na papierze, 18x25 cm





KUROPATWY

Pamiętam jesienie
Gdy jako fryc młody,
Wrześniowym porankiem
Szedł szukać przygody.

Na pola jesienne
Pocięte miedzami,
Z wyżłem szedł na łowy.
Za kuropatwami.

Pamiętam też ranki
Jesienne i mgliste.
I słońce nieśmiałe
I rosy perliste.

Poletka kartofli
I gryki i prosa.
Cichy głos przepiórki
Gdy obeschła rosa.



Stanisław Ostański, „Kuropatwy”, akwarela, 32x25 cm





Furkot stadka kuropatw
Co zapadło w łanie.
Wołającej młode
Starki „czirikanie”.

A południem gdy słońce
Przypieka jak latem,
Nici babiego lata
Szybują nad światem.

By odpocząć na miedzy
Pod gruszą siadałem.
I ciszy jesiennej
W zadumie słuchałem.

Dziś już z pól znikły
I proso i hreczka.
Znikły kuropatwy,
Z nimi przepióreczka.

I miedz już niewiele
A jeszcze mniej grusz.
I łowy na kury
Skończyły się już.

Znikły z pól miedze, grusze.
Znikły kuropatwy.
Czas, przeszłość przykryły
Ich cienie.

Nutka żalu, nostalgia
Za minionym czasem
Zostały.
Chwil dawnych, młodości wspomnienie.



Stanisław Ostański, „Kuropatwy”, akryl na płótnie, 50x42 cm

28 września 2013 roku





POLESIE

Polesie – kraina pełna jezior,
Bagien i moczarów.
Rzek, strumieni, trzcinowisk.
Gadów i komarów.

Mgieł porannych, wieczornych,
Oparów bagiennych,
Brzezin, borów sosnowych,
Piaszczystych pól, łąk sennych.

Na których z rzadka rozrzucone
Stoją stogi siana.
Jak wieżyce obronne
Mgłą okryte z rana.

Na ich szczycie nieruchomo
Siedzą mysołowy,
Wypatrując zdobyczy.
Tak prowadzą łowy.

Nad bezkresem trzcinowisk,
Gdzie łóz gęste krzaki,
Kołysząc się na wietrze,
Polują błotniaki.

Tam gdzie błękit jezior,
Bielik, ptak herbowy
W błękitcie nieba szybuje,
Kwiląc wiedzie łowy.

A wiosną o poranku,
W głębi boru, z mszaru
Trąbienie żurawi słyhać,
Pełne nostalgii i czaru.

Śród łąk łachy piaszczyste.
Na nich wrzosowiska.
Z karłowatymi brzożami, sosnami,
Tam są tokowiska.





Stanisław Ostański, „Losie w śnieżycy”, akryl na płótnie, 40x30 cm



Stanisław Ostański, „Łoś o zachodzie słońca”, akryl na płótnie, 40x30 cm



Stanisław Ostański, „Losie na zimowym bagnie”, akryl na płótnie, 70x50 cm





Tam koguty cietrzewie
Wiosną, zawzięcie tokują.
Czuszycają, bulgocą,
Skrzydłami rysują.

W sercu puszczy o świcie
Gdy jest jeszcze ciemno,
W koronie starej sosny głuszec
Śpiewa z cicha, swą pieśń czarowną, tajemną.

A gdy niebo wiosennie
Zachód ubarwi zorzami,
Słonka długodzioba majestatycznie
Ciągnie nad duktami.

W sierpniowe wieczory,
Pod niebem ubranym w gwiazd tysiące,
Słysząc świst skrzydeł kaczek,
Na ścierniska stada lecące.

W głębi lasu woń ściółki, grzybów.
Zapach malin, bagno odurzające.
Na poletkach zbóż, hreczki,
Traw, ziół skoszonych na łące.

Gdy wrzesień knieję ubarwi
Zręby, uroczyska,
Nocami, wczesnym rankiem
Słysząc jelenie, głosy rykowiska.

Zbrojny w rosochy łos potężny,
Na rojstach wśród bagien, łóz
Odprawia gody jesienne.
Pierwotnej puszczy, pierwotny król.

Nad mgłą welonem rozesełaną,
Nisko nad łąką, bagnami
Jak duchy, głowy łosi zda się płyną we mgle.
Strojne łopatami.





A w noce księżycowe
Latem, czy też zimą,
Głos puchacza, wycie wilków.
W bezkres bagien płyną.

Nad rzeczką, jeziorem w puszczy,
Z rzadka chatki rozrzucone.
W bzach, jaśminach,
Lip starych konarami szczelnie otulone.

I cisza, nie podobna ta do innej ciszy.
Zasłuchany w tą ciszę bicie serca słyszysz.
Z rzadka tylko głosami natury przerywana,
Kwileniem czajki, szczekaniem rogacza, klekotem bociana.

Zimą puchem śnieżnym okryta,
Oszroniona, bajeczna pełna czaru.
Parskanie konika ciągnącego sanie.
Perliste dzwonięcie janczarów.

Polesie – kraina mgłą przeszłości zasłonią.
Tajemnicza kraina wśród bagien, we mgłach.
Miniona, tęskniona.
Mglista w tęsknocie, słoneczna... w snach.

14 lipca 2018 roku



Stanisław Ostański, „Odpoczywająca klempa”, awarela, 29,7x21 cm





GALERIA ZAKONU





Henryk Chwaliński przy medalowych - jeleniu byku i sarnie rogaczu, pozyskanych w 2020 roku



Leszek Walenda przy danielu byku (174,70 pkt CIC), którego pozyskał 4 stycznia 2020 roku w OHZ - LP nr 67 w Nadleśnictwie Radzyń Podlaski

Leszek Walenda udanie rozpoczął polowanie zbiorowe Zakonu, Janów Lubelski, 25 października 2019 roku, fot. Magda Langer





Henryk Chwaliński dekoruje Króla polowania Macieja Bogdańskiego, Janów Lubelski, 25 października 2019 roku, fot. Magda Langer



W strzelaniu do „Tarczy Złotego Jelenia” zwyciężył Henryk Chwaliński, Biłgoraj, 26 października 2019 roku, fot. Magda Langer



„Syberyjskie głuszce”, z archiwum Stanisława Ostańskiego



Po udanym miocie, z archiwum Stanisława Ostańskiego





Jelenie byki pozyskane przez Macieja Bogdańskiego w latach: 2018, 2019, 2020





Eugeniusz Gwiazdowski przy swojej rzeźbie „Pomnik Jana Pawła II”, fot. Liliana Keller





„Lyski”, fot. Magda Langer



„Dzik”, fot. Magda Langer



„Daniel”, fot. Magda Langer





Ruja u saren na Roztoczu, 2020 rok, zdjęcia Janusz Siek





„Na rozlewiskach Topornicy”, obraz Liliany Keller, olej na płótnie, 30x40 cm - przedstawia Kawalera Janusza Sieka polującego na kaczki, w trzcinach czeski fousek „Cybuch”

